

Lyn Stone

Bukiet ostów

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zamek Hetherston, Northumberland 1366

- On ciebie nie chce, Alys!

- Nieprawda, Thomasine! Przecież jest tutaj! Przyjechał!
Będę miała męża!

Alys of Camoy na próżno usiłowała wyrwać ramię z kurczowo zaciśniętych palców kuzynki.

- Puść mnie, Thomasine! Muszę się śpieszyć, jeśli chcę powitać go na dziedzińcu!

- Niech poczeka - syknęła kuzynka. - Tyle kazał ci czekać, a ty biegiesz do niego jak gorliwy szczeniak! Cały dwór drwi z ciebie, że trzymasz się kurczowo umowy zawartej dziesięć lat temu z takim prostakiem i do tego półkrwi Szkotem!

- Którego król darzy wielkim szacunkiem! - rzuciła gniewnie Alys. Jej narzeczony stoczył ciężką walkę z żołnierzami hiszpańskiego uzurpatora Trastamary (Hrabia Trastamara - późniejszy Henryk II, władca Hiszpanii w latach 1366 - 1379. (Wszystkie przypisy - tłumacza.)), umożliwiając ucieczkę królewskiemu synowi, Lancasterowi. Niestety, został wówczas pojmany i spędził w niewoli prawie rok. Dzięki swojej waleczności i poświęceniu na zawsze zdobył względy całej rodziny królewskiej.

A Thomasine... Och, Alys stanowczo wolałaby, żeby kuzynka nie ruszała się z Londynu, z królewskiego dworu. Chociaż to właśnie Thomasine przywiozła do Hetherston radosną wieść, że John żyje i niedawno powrócił z Hiszpanii. Ale opowiadała też niestworzone rzeczy, na przykład o tym, że John przeklina każdego, kto ośmieli się do niego zbliżyć, nawet medyków Jego Królewskiej Mości. A to na pewno nieprawda. Wspaniały, uwielbiany przez Alys rycerz nigdy nie pozwoliłby sobie na takie grubiaństwo. Co ta Thomasine może w ogóle o nim wiedzieć? Nie знаła Johna, nie była nawet

obecna podczas zrękowin. Nie rosła, tak jak Alys, karmiona przez rodziców Johna opowieściami o jego wspaniałej młodości i nadzwyczajnym męstwie!

Alys zdecydowanym ruchem uwolniła ramię z rąk kuzynki i pomknęła ku drzwiom. Zbiegła po schodach wiodących na dziedziniec i przystanąła na najniższym stopniu. Brama do wielkiego zamku z kamienia była już szeroko otwarta. Po śmierci barona rządy w tym zamku sprawowała Alys. Była dumna z siebie, pewna, że John nie będzie nią rozczarowany. W zamkowych spiżarniach, mimo surowej zimy, zapasów nie brakowało. Wystarczy i na ucztę powitalną, i na huczne weselisko. W zamkowych stawach wesoło pluskał się świeży narybek, świnie były coraz grubsze, tak samo było. Zaczęły się wiosenne siewy, a przed kilkoma tygodniami oczyszczono fosę. Napełniły ją wiosenne deszcze. Alys poleciła też starannie wygrabić i wyrównać place wokół zamku i ponaprawiać w zamkowych budynkach wszystko, co wymagało naprawy.

- Nie, nie będzie mi mógł niczego zarzucić - mruknęła do siebie, wygładzając starannie fałdy spódnicy. Ciekawe, co pomyśli sobie na jej widok? W jego pamięci zachował się obraz dziewczuszki jedenastoletniej, w sukni z ciemnoniebieskiego brokatu i wianku z wiosennych kwiatów na rozpuszczonych jasnych włosach. Dziś Alys miała na sobie skromną suknię z jasnego kamlotu (Kamlot - cienka tkanina wełniana z domieszką bawełnianej przędzy.) i zielony płócienny surkot (Surokot - suknia wierzchnia.). Włosy, kiedyś jasne, z biegiem lat pociemniały, były brązowe, tylko w słońcu pojawiały się w nich złociste pasemka. Przykrywał je zwyczajny czepiec, pod którym nie udawało się schować wszystkich niesfornych loków.

- Och, on pomyśli jeszcze, że jestem jakąś dziewczką służebną - mruknęła znów do siebie, wielce niezadowolona,

ale nie było już czasu na dalsze zastanawianie się nad swoim wyglądem. Brama z grubej żelaznej kraty powoli unosiła się już w górę, wydając z siebie przeraźliwe dźwięki za każdym razem, kiedy pociągnięto za linę. Może powinna kazać otworzyć ją wcześniej, żeby dać dowód tego, że z wielką niecierpliwością oczekuje się przybycia nowego pana tego zamku?

Poczet konnych wjechał na dziedziniec. Niespokojny wzrok Alys przemknął po twarzach mężczyzn. Który z nich to John? - Czy pozna go? Był taki piękny, kiedy ślubował jej przed rozpromienionymi rodzicami i licznymi gośćmi. Przedtem pasowano go na rycerza, dlatego nosił już barwy Lancasterów - czerwień i czern.

Pamiętała, że był dużo wyższy od niej i cały jaśniał, zwracał uwagę błyszczącym mieczem i złotymi ostrogami. Ale jeszcze dokładniej zapamiętała radosny uśmiech, w którym odsłaniał piękne białe zęby. I zapamiętała oczy, ciemnoniebieskie, zapraszające ją, by dzieliła z nim szczęście. Ciemne, lśniące loki opadały na srebrzysty kołnierz zbroi. Rysy twarzy jednak z biegiem lat zatarły się w pamięci. Czy ona w ogóle go pozna?

Ludzie z zamku wylegli na dziedziniec, zapewne ciekawi tak samo jak ona widoku nowego pana tego zamku. Jeden z przyjezdnych zsiadł z konia i podszedł do Alys. Nieduży, niewiele wyższy od niej i korpulentny jak ojciec Stefan. A więc to na pewno nie John.

- Witajcie - powiedziała. - Witajcie w Hetherston.

- Witajcie! Nazywam się Simon Ferrell, jestem giermkim sir... lorda Johna.

John odziedziczył po ojcu tytuł barona. Stary lord zmarł pół roku temu, teraz więc John był panem tych włości. Lordem Greycourtem of Hetherston.

- Czy łoże dla milorda przygotowane? - spytał Ferrell.

- Tak. Powiedz, czy on bardzo niedomaga? Gdzie on jest?

- Tutaj! - usłyszała opryskliwy głos, dobiegający z góry. Jeden z jeźdźców, przedtem nienaturalnie pochylony i dlatego nie mogła dojrzeć jego twarzy, podjechał na swoim koniu bliżej. - Gdzie mój puchar, kobieto?

Spojrzenie Alys pomknęło w górę, ku twarzy tak długo wyczekiwanej, teraz bladej i wymizerowanej. Głos lorda, choć opryskliwy, dla jej uszu był najpiękniejszą melodią.

To on! John! Och, Boże! A ona nie pomyślała o pucharze na powitanie gościa! Jaka z niej będzie żona, skoro nie potrafi należycie powitać swego przyszłego małżonka?

- Zaraz przyniosę, milordzie! Już biegnę...

- Nie trzeba! Napiję się w sali zamkowej - rzucił szorstko. Powoli, z wysiłkiem, którego nie potrafił ukryć, zsiadł z konia i wsparł się na ramieniu giermka.

- Ja sobie życzysz, milordzie - powiedziała, podchodząc do niego bliżej. - Proszę, pozwól sobie pomóc...

Chciała ustawić się u drugiego jego boku i również służyć ramieniem, ale speszona gniewnym spojrzeniem, odstąpiła. Niestety, ten właśnie niefortunny moment mały Walter postanowił wykorzystać jako sposobność zaprezentowania swojej osoby. Wypadł na dziedziniec w wymyślnych podskokach, naśladując kuglarza, obiegnął ich dookoła i zatrzymał się koło Johna.

- Jestem Walt! - zawołał, skubiąc brzeg jego jopuli (Jopula - kaftan o czteroczęściowym kroju. Obszerną, długą jopulę nakładano na zbroję. Jopula spodnia, wkładana pod zbroję, była krótsza, z kołnierzem i przywiązywano do niej nogawice.).

- A ty jesteś Johnny, prawda?

- Walterze! - Alys pogroziła chłopcu palcem. - Przecież prosiłam! Lord John musi wypocząć po podróży! Jak dojdzie

do sił, będziesz mógł z nim porozmawiać. A teraz wracaj do zamku, a żywo! Bo nie dostaniesz wieczorem puddingu!

Płowowłosy chłopiec posłuchał, przedtem jednak popisał się najnowszą swoją sztuczką, „gwiazdą”. Wykonał ją dwukrotnie i odbiegł, zanosząc się śmiechem.

- Proszę, wybacz, milordzie - powiedziała Alys, równając krok z Johnem. - On jest bardzo przejęty twoim przybyciem, tak samo zresztą jak my wszyscy. Jakie to szczęście, że powróciłeś do domu!

- A kto to jest? - spytał opryskliwym tonem.

- Walter, milordzie. Nie otrzymałeś listu od swojej matki, w którym przekazywała ci radosną nowinę?

- Nie. I odsuń się ode mnie, dziewczyno, bo jeszcze podstawisz mi nogę - wymamrotał pod nosem, jakby całkowicie pochłonięty stawianiem jednej swojej nogi przed drugą. Powoli, krok za krokiem, doszli do schodów, po których wszedł z wielkim trudem. Nie kulał, nie dyszał ciężko, ale widać było, że z każdą chwilą jest coraz słabszy.

Kiedy weszli do sali zamkowej, Alys szybko podeszła do stołu, jeszcze nie uprzątniętego po południowym posiłku, naląła do pucharu wina i podała Johnowi. Wypił łapczywie, potem spojrzał na nią, jakby dopiero teraz naprawdę ją zobaczył. Przenikliwy niebieski wzrok omiótł ją od stóp do głów.

- Może chciałbyś wykąpać się, milordzie, i zjeść w swojej komnacie? - spytała, starając się, aby jej głos zabrzmiał pogodnie. - Każę przynieść gorącej wody i usłużę ci przy kąpieli.

- Mój giermek usłuży mi przy kąpieli.

- Skoro taka twoja wola, panie... Zmusiła się do uśmiechu. Prawdopodobnie

powiedział tak przez delikatność, nie chciał, żeby usługiwała mu kobieta niezamężna. Skąd miał wiedzieć, że

Alys już bardzo dawno przejęła obowiązki pani tego zamku i dogląda kąpieli wszystkich gości?

- Jeśli życzysz sobie czegoś jeszcze, panie...

- Nie jestem tutaj gościem, kobieto! Kimże ty w ogóle jesteś? I gdzie jest to dziecko, ta Alys? Czy ona tutaj jest?

- Tak. To ja, John!

W niebieskich oczach lorda błysnęło.

- Alys? - spytał zdławionym głosem. - To ty? Uśmiechnęła się, nieco rozbawiona jego zaskoczeniem.

- Tak, to ja. Nie dziwię się, że mnie nie poznałeś. Zmieniłam się przecież, a poza tym odziana jestem nie lepiej niż gęsiarka! Ale to na pewno ja, John! Jeszcze raz witam cię w twoich progach! Raduję się całym sercem, że powróciłeś z niewoli....

Magle uzmysłowiła sobie, że dla Johna powrót do domu łączy się nie tylko z radością. Ona miała mnóstwo czasu, żeby pogodzić się ze smutnym faktem odejścia jego rodziców. John ma to wszystko przed sobą.

- John, boleję bardzo...

- Porozmawiamy później - powiedział cicho i wsparł się znów na ramieniu giermka. - Prowadź mnie do moich komnat, Simonie.

Odprowadzała go wzrokiem, póki nie znikł w zamkowym korytarzu. Jakże zmienił się przez te lata! Był zupełnie inny niż tamten młody, pełen zapału rycerz. Wojna i niewola zraniły nie tylko jego ciało, ale i duszę. Teraz był to człowiek potrzebujący współczucia i kobiecej opieki. Jej opieki. Oczywiście, jeśli jej na to pozwoli...

Bezwiednie obróciła na palcu srebrny pierścionek. Ten zaręczynowy pierścionek od Johna teraz uciskał bardziej niż zwykle, choć od jakiegoś czasu zaczęła go nosić na małym palcu. Czyżby był to jakiś znak?

- Nonsens... - mruknęła pod nosem. On jest po prostu umęczony długą podróżą, a dla niego tym bardziej uciążliwą, ponieważ jest ranny. Trudno wymagać od Johna, żeby teraz zachowywał się jak gładki dworzanin. A poza tym prawdopodobnie jest nieco rozczarowany swoją narzeczoną. I to jej wina. Zanim wybiegła mu na powitanie, powinna zadbać o swój wygląd, przyodziać się w piękne szaty. Ale to nic, to się da naprawić. Teraz powinna uczynić wszystko, żeby John był zadowolony z powrotu do domu. A kiedy dojdzie w pełni do sił, wróci także jego pogodne usposobienie. A tymczasem powinna okazywać mu jak najwięcej serca, obdarzać go uśmiechem bez względu na to, co on powie lub uczyni. Nie będzie to dla niej trudne, przecież w ciągu minionych dziesięciu lat każdej chwili na jawie towarzyszyły jej słodkie rozmyślenia o Johnie i ich wspólnej przyszłości.

John uświadomił sobie, że on prawie wcale nie myślał o Alys of Camoy. A jeśli już, to w jego umyśle była tylko częścią dobytku, jak zdobiące ściany zamku piękne gobeliny, utkane przez matkę, albo srebrny puchar, który zakupił ojciec i kazał stawiać na stole tylko podczas szczególnych okazji. On tym dobytkiem nie zamierzał zaprzętać sobie głowy, bo i po co? Przecież zamierzał całe swoje życie służyć Lancasterowi.

Niestety, ta część dobytku posiadała kobiecy głos, poza tym powierzchowność przykuwającą męski wzrok.

- Znieważałeś ją, panie, każdym słowem - mruknął Simon Ferrell. - A zwłaszcza tymi, których nie wypowiedziałeś na głos.

- I co z tego? Wcale nie zamierzam brać jej za żonę. Kiedy wydobrzeję na tyle, żebym mógł znów przywdziać zbroję, wyruszam do Francji. Chcę wziąć udział w wyprawie księcia Edwarda przeciwko Trastamarze.

- A co ciebie obchodzi, panie, który Hiszpan rządzi Hiszpanią?

- Wystarczy, że obchodzi to króla, a diuk ma w tym swój interes. Nie wspominając już o tym, że ja osobiście pałam chęcią odwetu za moją niewolę.

- A jeśli nie przeżyjesz tej kampanii? Nie lepiej to pojąć teraz milady za żonę i spłodzić dziedzica?

John ciężko westchnął. Przeciągnął się, żeby rozprostować obolałe po długiej jeździe kości i skrzywił się.

- A powiedz ty mi, Simonie, jaki to pożytek z żony czy dziedzica? Albo z bycia lordem? Bo ja nie wiem, i nie znam się na tym. Bliższy mi miecz i walka. Poza tym przez te dziesięć lat nawet nie pamiętałem o istnieniu Alys of Camoy. I teraz mam wziąć ją za żonę, sprawić, by zaszła w ciążę, a potem zostawić samą, kiedy znów ruszę na wojnę? Zaiste, bardzo szlachetnie! Lepiej niech ona dalej cieszy się wolnością. W końcu te zrękowiny naprawdę nie mają żadnego znaczenia.

- Może dla ciebie, milordzie. Ale dla innych mają, zwłaszcza dla niej.

- Bzdura. To były jej trzecie zrękowiny. Król znajdzie jej innego męża.

Simon pomógł zdjąć Johnowi brudną, zakurzoną jopulę, potem z wielką wprawą zaczął ściągać ciężką kolczugę, którą John pożyczył na czas podróży. I perorował dalej.

- Alys of Camoy jest piękną kobietą! Jak możesz ją odtrącać?

- Niestety, mogę.

John przysiadł na brzegu łoża. Zasłonił dłonią twarz i zaśmiał się gorzko.

- Powinienem cieszyć się z powrotu do domu, Simonie, a czuję się tak podle! Moi rodzice nie żyją. Sił mam tyle, co nowo narodzone cielę. A temu dziewczęciu zabrałem dziesięć lat młodości. Daj mi jakiś powód, żebym poczuł się inaczej.

- A dam ci powód, milordzie, dam! - Simon ściągnął Johnowi jeden z trzewików i dając wyraz swemu wzburzeniu, cisnął nim o posadzkę. - Uciekłeś tym łotrom, jesteś żywy i kiedy ulecysz swoje rany, będziesz taki, jak przedtem. A piękna dziewczyna czekała przez dziesięć lat, żeby zostać twoją żoną!

John opadł na plecy, na miękki piernak, i zasłonił twarz ramieniem. Na nieokrzesanego Simona mógł liczyć zawsze, zwłaszcza jeśli chodziło o rzucenie niemiłej prawdy prosto w oczy. Choć może tym razem było to konieczne.

- Masz rację, Simonie. Zachowałem się jak gbur. Prześpię się kilka godzin i dopiero potem postaram się być bardziej miły w obejściu.

Tak. Na Simona, syna kowala, sześć lat temu wybranego z szeregów Lancastera na giermka, John mógł zawsze liczyć. Kiedy John został wzięty do hiszpańskiej niewoli, Simon, bezgranicznie lojalny, zrobił wszystko, aby być blisko swego pana. Podążył za nim do Hiszpanii i zamieszkał w pobliżu zamku, gdzie więziono Johna. Najął się do kowala i czekał na sposobny moment. Bez Simona ucieczka byłaby niemożliwa.

- Zwrócę się do króla, Simonie, żeby jak najszybciej pasowano cię na rycerza.

- Teraz przede wszystkim musisz wydobrzeć, panie. To najważniejsze.

John wyciągnął nogę, poczekał, aż Simon upora się ze zdjęciem drugiego trzewika, wtedy mruknął:

- Zostaw mnie teraz. Będę spał.

- Jak sobie milord życzy.

Nie zasnął od razu. Zbyt wiele niespokojnych myśli kłębiło się w jego głowie. Teraz to już była głowa lorda Johna... Nie, ciągle nie potrafił przywyknąć do tego tytułu, tak samo, jak nie mógł pogodzić się z faktem, że jego ojciec odszedł na zawsze. Pochowany został w krypcie w kaplicy,

złożono go na wieczny odpoczynek obok matki, która zmarła przed rokiem.

Wiść o śmierci matki nadeszła w przeddzień ważnej bitwy, chyba najbardziej krwawej, jaką dotąd przeżył. Był zdumiony, a nawet zły, że list opatrzyła swoim podpisem lady Alys. Jakim prawem ta sierota, która miała zapewnioną egzystencję tylko dzięki litości ojca Johna i łaskawości króla, czuła się upoważniona do przekazywania wieści w tak ważnej sprawie?

O śmierci ojca dowiedział się dopiero po powrocie do Londynu. Jego ból stał się jeszcze większy, był jak otwarta rana w sercu. Potęgowały go wyrzuty, że w ciągu minionych dziesięciu lat ani razu nie zawitał do Anglii.

Gdyby nie był tak zapalony do podtrzymywania tradycji Greycourtów, znanych z waleczności, może uniknąłby niewoli. Hiszpanie zabrali mu cennego rumaka, zbroję i broń, głodzili go. Na szczęście, nie wierzyli, że będzie w stanie uciec.

Lady Alys cały czas czekała na niego. Dlaczego? Mogła przecież zapomnieć o ich zrzekowinach i wyjść za kogoś innego. John zresztą, szczerze mówiąc, liczył na to. Mała lady Alys... Rumiane, jasnowłose dziewczątka, uśmiechające się wdzięcznie, któremu trudno było ustać w miejscu podczas krótkiej uroczystości. Teraz, wyższa i o wiele starsza - minęła jej przecież dwudziesta pierwsza wiosna - nadal była wdzięczna i taka przymilna. Choć był wobec niej grubiański, i tak uśmiechała się promiennie. Może... może ona jest prostytutką? Brak bystrości umysłu usprawiedliwiłby fakt, że nie wykupiła go z hiszpańskiej niewoli. Bo nie wykupiła, pozostawiła samego, zdanego na niepewny los. Czy jednak powinien ją za to winić? W końcu on w jakiś sposób już przedtem ją odtrącił...

ROZDZIAŁ DRUGI

- Powtarzam, Alys. Gorzko pożałujesz dnia, w którym weźmiesz go sobie za męża!

Thomasine powiedziała to już któryś raz z rzędu. Chodziła za Alys krok w krok, przeszkadzając w sprawdzaniu stołów nakrytych do wieczery. I irytowała niepomiernie.

Alys wzięła puchar ze stołu, przyjrzała się, czy brzeg nie jest wyszczerbiony. Odstawiła puchar i odwróciła się do kuzynki, resztką sił powstrzymując narastający gniew.

- W takim razie, co powinnam według ciebie zrobić? Mam prosić króla o jeszcze jednego narzeczonego? Przecież król dał mi ich już trzech!

- Wcale nie musisz zawracać głowy królowi. Zwróć słowo, a potem po prostu ucieknij i weź ślub z kimś innym. Na przykład z sir Roncim. On bez przerwy o ciebie pyta.

Raczej o moje bogactwo, pomyślała gorzko Alys. Wiadomo, na czym mu zależy. Gdyby Thomasine miała wiano, to ona byłaby jego żoną. Bo łoże dzielą już od dawna...

- Jedź ze mną do Londynu, Alys. Nikt nie będzie miał ci za złe uciezki, wszystko się ułoży.

Tak. Po myśli Thomasine. Gdyby Ronci zdobył rękę Alys i jej włości, Thomasine miałyby zapewnioną przyszłość. Ronci nie poniechałby uciech z Thomasine, z tych uciech Thomasine miałyby chleb do końca życia. Za tę cenę gotowa jest podzielić się z Alys swoim lubym. I dlatego podjudza teraz Alys przeciwko Johnowi.

Jakże rozpaczliwe musi być położenie Thomasine, skoro zdecydowała się na coś tak nikczemnego!

- Czyli uważasz, Thomasine, że powinnam zerwać śluby i nie dotrzymać obietnicy, złożonej lady Greycourt, kiedy leżała na łożu śmierci?

Thomasine wzruszyła ramionami.

- Lady Greycourt nie żyje. Nikt nie dowie się o tej obietnicy, a poza tym nikt i tak by nie nalegał na jej dotrzymanie. Bo kimże była lady Greycourt? Porwaną Szkotką, której nikt nigdy nie chciał uznać.

- Dla mnie lady Greycourt znaczyła bardzo wiele! Kiedy miałam sześć lat, czarna śmierć (Dżuma.) zabrała mojego ojca i mojego pierwszego narzeczonego. Wysłano mnie wtedy do włości hrabiego Hensby'ego, tam miałam doczekać stosownego wieku. Ale hrabia nie chciał mnie za żonę i następne pięć lat spędziłam na zastanawianiu się, komu teraz zostanę przyrzeczona. Król wybrał Greycourtów. Oddał im mnie i moje włości. Lord i lady Greycourt przyjęli mnie pod swój dach. Tu jest mój dom, a teraz John powrócił. Po to, żeby darzyć mnie miłością.

- Miłością? - Thomasine uniosła ironicznie cieniutkie łuki brwi. - Ależ z ciebie marzycielka, Alys! Czy ty nie pojmujesz, że on przez te wszystkie lata uciekał od małżeństwa z tobą? Dlaczego nigdy tu nie przyjechał, żeby wziąć z tobą ślub?

Wiadomo było, że Thomasine zada to pytanie, dla Alys najbardziej kłopotliwe.

Odwróciła się od kuzynki i przez dłuższą chwilę wpatrywała w zastawiony stół.

- My musimy wziąć ślub - powiedziała, ostrożnie przesuwając trochę na bok miseczkę z różaną wodą do płukania palców. - Zostałam mu przyrzeczona, a on mnie!

- Jeśli chcesz zwrócić słowo, nie jest to niemożliwe.

To nie był głos Thomasine. Alys drgnęła i spojrzała przez ramię. Kuzynka znikła, a dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stała przed sekundą, pojawił się John. Wyglądał już nieco lepiej. Nie. Wyglądał tak, że Alys nagle zabrakło tchu.

Pod oczami nadal miał cienie, ale spojrzenie było już jasne i bystre. Ktoś - zapewne jego giermek - uczesał go i ogolił, teraz John roztaczał wokół siebie woń drewna sandałowego i

cedrowego. Miał na sobie barwy swego rodu, zielony i złocisty, w tych barwach było mu bardzo do twarzy. Szerokie ramiona trzymał wyprostowane, nie znać już było na nich ani zmęczenia, ani słabości.

Alys przycisnęła rękę do trzepoczącego serca.

- Zszedłeś wcześniej na wieczerzę, milordzie!

- W samą porę, aby usłyszeć twoje lamentowanie. Zwracam ci słowo, Alys. Sądzę, że tak będzie najlepiej.

- Och, nie, milordzie! Nawet o tym nie myśl!

- A jeśli będę nalegał? - spytał, nie patrząc na nią. - Nie chcę mieć żony, która będzie mi niechętna.

- Ależ wcale takiej nie będziesz miał, milordzie! Ja... ja pragnę tego małżeństwa. Przecież my oboje, tu, w tej sali, złożyliśmy sobie śluby.

- Tak, tutaj...

John westchnął, jego wzrok przemknął po wielkiej sali.

- Nadal mam w uszach tamten głos, dźwięczny i donośny, obwieszczający wszystkim, że zostałem pasowany na rycerza. Byłem pijany ze szczęścia. Zostałem rycerzem i wkrótce miałem wyruszyć na wojnę... Tamtego ranka, Alys, z tej radości gotów byłem zgodzić się na wszystko, czego by ojciec zażądał. Nawet złożyć śluby dziewczynce, dziecku jeszcze, za małemu do stanu małżeńskiego.

- Pojmuję... - Alys wzruszyła ramionami, aby nie dać poznać po sobie, jak boleśnie zakłuło ją w sercu. - Ale też i uśmiechałeś się do tamtej dziewczynki, która miała powiększyć bogactwo twojego ojca i dotrzymywać mu towarzystwa podczas twojej nieobecności. Okazałeś się bardzo dobrym synem! Pochwalam to, John. A ja... ja nadal cię kocham.

- Kochasz... - powtórzył przeciągle John. Zaśmiał się i potrząsnął głową. - Boże, oszczędź mi tego! Jakież z ciebie jeszcze dziecko!

Alys milczała. Wolała nie mówić już na ten temat, teraz, kiedy John ma tyle powodów, żeby być smutnym i zgorzkniałym. Trzeba poczekać, aż wydobreje. Kiedy poczuje się lepiej, znów stanie się taki, jak kiedyś.

- Alys... - odezwał się po chwili John - usiądźmy na chwilę. Chciałbym z tobą porozmawiać... o moich rodzicach.

Podprowadził ją do wyściełanej miękkimi skórami ławy przed kominkiem. Usiedli i John, zapatrzony w złociste płomienie, spytał cicho.

- Powiedz mi, czy moja matka... umarła szybko?

Wiedziała, że nie wolno kłamać, nawet gdyby w ten sposób chciała zaoszczędzić mu bólu. Kłamstwo dałoby Johnowi pociechę. Ale cierpienie lady Greycourt było zbyt wielkie, żeby je przemilczeć.

- Nie, John. To trwało prawie rok. Nie wstawała z łoża. I choć ze wszystkich sił staraliśmy się jej ulżyć, cierpiała bardzo.

- A ojciec? - spytał głuchym głosem. - Jak było z moim ojcem?

- Odszedł nagle, we śnie. Jego ostatnie słowa, przy wieczerzy, były o tobie, John. Ileż on się modlił, błagał Pana Boga, by pozwolił ci przeżyć i szczęśliwie powrócić do domu!

- A ty, Alys? - Nagle wzrok jego stwardniał. - Jak to tam naprawdę z tobą było? Powiedziałaś, że mnie kochasz, więc dlaczego nie wykupiłaś mnie z niewoli?

Milczała. Była wstrząśnięta. Jakże on może wątpić w jej uczucie i oddanie? Przecież wie na pewno, kto zapłacił za jego uwolnienie! Nie nastąpiło to, co prawda, tak szybko, jakby tego chciała, ale na pewno nie z jej winy!

Wstała, drżąc cała z oburzenia.

- O wykupieniu ciebie myślałam od chwili, gdy dotarła do nas wieść, że dostałeś się do niewoli, John!

- Aha... - John pokiwał głową. - I tak to cię zmęczyło, że skończyło się na samym myśleniu...

Jedyną odpowiedzią, jaką miała ochotę teraz udzielić, było wymierzenie mu policzka. Udało się jej jednak powstrzymać rękę. I mieć nadzieję, że wyraz jej twarzy, jeśli już nie jest łagodny, to przynajmniej jest pełen godności.

- Wybacz, John! Muszę już iść!

Szybkim krokiem ruszyła ku drzwiom. Wiedziała, że Johna nie sposób nie usprawiedliwić. Po długiej niewoli, kiedy marniał w rękach Hiszpanów, zmaga się teraz z rozpaczą po stracie rodziców. Ale i tak nie ufała sobie. Bała się, że zawładnie ją gniew, a przecież za nic w świecie nie chciała go urazić. John, nawet jeśli wzdraga się przed małżeństwem, musi ją poślubić! Bo Hetherston znaczyło dla niej wszystko. Dach nad głową, dziecko, powierzone jej opiece, i obietnica dana przed śmiercią pani tego zamku.

Gniew Johna znikł tak samo szybko, jak gniew Alys. Zastąpiły go wyrzuty. Bo i jakże mógł obwiniać tę dziewczynę o to, że nie uczyniła czegoś, co powinni zrobić inni? Tym bardziej że myślała o okupie. Ale prawdopodobnie nie wiedziała, jak to załatwić.

Rozparł się wygodniej na ławie, spojrzął w ogień i nagle stanęły mu przed oczami tamte odległe wieczory przed kominkiem, spędzane z rodzicami. Był wtedy kilkuletnim chłopcem. Matka śpiewała, ojciec snuł długie opowieści o wielkich bitwach, o męstwie przodków. A teraz... teraz John przed tym kominkiem mógł zasiąść tylko z Alys. Dziewczyna doglądała w chorobie jego matkę i niosła pociechę ojcu. Kiedy mówiła o nich, w jej oczach pojawiał wielki smutek. Tej dziewczynie należy szczerzyć ostrych słów.

Wyrosła na prawdziwą piękność. Nie uświadamiał sobie jej urody do dziś, póki nie ujrzał jej w niebieskich jedwabiach,

podkreślających błękit jej oczu. Póki nie ujrzał bogactwa jej jasnobrazowych włosów, sięgających aż do talii.

Zrobił jej wielką przykrość swoimi zarzutami, uraził ją, a w niej jest tyle dobrych chęci. Tak przynajmniej się wydaje. A on chciałby w to uwierzyć. Co innego być zdanym na giernka, któremu płaci się za wszystko, a co innego mieć koło siebie kogoś, komu tylko z potrzeby serca zależeć będzie na tym, żeby żył.

Chciałby jej uwierzyć, ale i tak nie wierzy do końca. Na pewno byłoby inaczej, gdyby Alys of Camoy była już jego żoną. Jej troska nie rodziłaby żadnych podejrzeń. I łatwiej byłoby odbudować w sobie zaufanie do ludzi, podkopane przez czas niewoli.

Co się stało, to się nie odstanie. Zwróci tej dziewczynie słowo, niech ma prawo do szczęścia, którego on na pewno jej nie da. Nie chodzi o uciechy łoża, do których ona na pewno byłaby chętna. On zresztą też, bo, dzięki Bogu, pod tym względem jego ciało nie poniosło żadnego uszczerbku. Przeciwnie, reagowało bardzo mocno już na samą obecność Alys, na jej słodki, świeży zapach młodości i spojrzenie, takie niewinne, a jednocześnie tak... zmysłowe. Niewielu kobietom udało się tego dokonać, wkładając w to równie niewiele wysiłku co Alys. Ale potrzeby ciała to nie wszystko. Nie powinien brać sobie żony, skoro swą przyszłość widzi tylko w powinności rycerskiej. Innego życia sobie nie wyobrażał, przecież on do stanu rycerskiego sposobił się już od siódmego roku życia, pod okiem obcego rycerza, tak jak nakazywał obyczaj. W Hetherston bywał bardzo rzadko, teraz wrócił po wielu latach nieobecności. Taki jest los rycerza. Czy wolno mu skazywać Alys na samotność, na wieczne zamartwianie się, kiedy on będzie wyruszał na kolejną bitwę?

Alys powinna wziąć sobie lorda, takiego co to kręci się tylko po zamku, liczy plony i prowadzi spory. Powinna zrobić

to jak najszybciej, bo zbyt długo trwa w stanie panińskim. Rozkwitła kilka lat temu, a nikt jeszcze tego kwiatu nie zerwał. Kiedy John zwróci jej słowo, bez kłopotu wyjdzie za mąż za kogoś innego. Nawet w jej wieku, jest przecież piękna, niewinna i ma okazałe wiano. Daj Boże, żeby tak się stało, bo dotychczas jej się nie wiodło. Najpierw przyrzeczono ją sześciolatniemu chłopcu, potem lordowi, który mógłby być jej dziadkiem. Pierwszy narzeczony zmarł ponoć jeszcze w wieku chłopięcym, drugi zniedołężniał do takiego stopnia, że nie był zdatny do żeniaczki. A on... On nie może się z nią ożenić. Gorszego męża Alys nie może już dostać.

Zwróci jej słowo. Nie przyjdzie mu to łatwo, wiedział to. Ta dziewczyna jest piękna i wcale nie kryje, że go kocha... Ha! A cóż ta niewinna, prostoduszna istota może wiedzieć o miłości? Nic. Tyle samo, co on, prawie trzydziestoletni mężczyzna, zmęczony już życiem.

Podczas wieczerzy John prawie się nie odzywał, zdawał się być całkowicie pogrążony we wspomnieniach. Alys starała się zapełnić ciszę wesołą paplaniną, w końcu i ona umilkła, speszona jego milczeniem. A rano, po obudzeniu, doszła do wniosku, że ze względu na stan ducha Johna kwestię małżeństwa należy odłożyć na później. John wprawdzie powinien zadomowić się w Hetherston, przywyknąć do piękna Anglii, do wolności i do ludzi, którzy go teraz otaczają i nie żywią wobec niego żadnych złych zamiarów.

W drodze do ogrodu, kiedy przechodziła przez salę zamkową, zauważyła Johna, raczącego się piwem. Siedział rozparty na ławie przed kominkiem, u jego stóp rozłożył się Trubadur, ukochany pies małego Waltera. Walter też był w sali, ale pomny przestrogi Alys, nie przystępował do Johna, tylko przycupnął za oparciem ławy.

Nie podeszła do Johna. Posłała mu z daleka promienny uśmiech i dalej podążała ku drzwiom. Miała zamiar narwać

świeżych ziół do przyprawienia jadła. Zwykle wysyłała którąś z dziewczek kuchennych, dziś jednak woląa zrobić to sama. Koniecznie chciała mieć jakieś zajęcie, co było najlepszym sposobem na unikanie spotkań z Johnem. A lepiej ich unikać, póki John nie złagodnieje, nie pokona w sobie gniewu, z którym pojawił się w Hetherston.

Zeszła po kamiennych schodach i ruszyła przed siebie ścieżką. Jak na marzec, poranek był wyjątkowo ciepły. Zwolniła więc krok, żeby porozkoszować się łagodnym powietrzem...

- Alys?

- Tak, John?

Odwróciła się i jej zdumienie wzrosło. Po raz pierwszy od chwili przybycia do Hetherston w uśmiechu Johna nie było goryczy ani cienia złościwości.

- Jakbym usłyszał moją matkę - powiedział miękko. - Dokąd idziesz?

- Do ogrodu - odparła, na potwierdzenie swoich słów unosząc wysoko koszyk.

- Mogę iść z tobą?

- Naturalnie. Jeśli czujesz się na siłach... Och, proszę, Panie Boże, spraw, by jego serce

w końcu zmiękło! Niechże znów stanie się rycerzem z jej snów!

Kiedy weszli do ogrodu, John rozejrzał się dookoła i westchnął z ulgą.

- Nic tu się nie zmieniło.

- Po co cokolwiek zmieniać, jeśli jest tak, jak powinno być? - spytała Alys, pochylając się, aby zerwać kilka cieniutkich gałązek tymianku.

- Masz rację. Wszystko, co trwałe i niezmiennie dodaje nam otuchy.

Alys wyprostowała się i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Niestety, dla ciebie wiele tu się zmieniło - powiedziała cicho. - Utrata rodziców zawsze będzie cię bolała. Ale proszę, nie rozpaczaj tak. Twoi rodzice na pewno by tego nie chcieli.

- Wiem. Ale ja zamartwiam się też z innego powodu. Gdybym przyjechał tu wcześniej...

- Wszyscy wiedzą, John, jak zaborczy jest Lancaster. Dlatego, jeśli chcesz koniecznie kogoś obarczyć winą, to przede wszystkim jego.

- Tak łatwo mnie rozgrzeszasz?

- Tak. Bo ty siebie nigdy nie zechcesz usprawiedliwić.

Przykucnęła, ostrożnie zerwała kilka listków rozmarynu i ułożyła w koszyku.

- Jesteś zbyt wyrozumiała, Alys.

Może. Ale potrafi też być zła. I taka pragnęła być właśnie teraz. Najchętniej chwyciłaby Johna za ramiona, potrząsnęła nim z całej siły i wykrzyczała mu w twarz, że powinien wreszcie przestać biczować się jak jakiś pokutnik. Przeszłość to przeszłość. Teraz powinien patrzeć w przyszłość.

Obraz idealnego rycerza, jaki nosiła w sercu, z każdą ich rozmową bladł. John sam wydrapywał brzydkie rysy na srebrzystym pancerzu. Ale ona... ona i tak chciała objąć go mocno i wyszeptać, że wcale nie jest tak źle, jak mu się wydaje. Objąć, tak, ale przedtem, oczywiście, mocno nim potrząsnąć!

Ruszyła przed siebie wąską ścieżką. Po chwili zerknęła za siebie. Johna już nie było. Poszedł sobie. On naprawdę potrzebował, żeby ktoś nim potrząsnął. Niestety, ona tego nie może uczynić. Jeśli go rozgniewa, będzie miał jeszcze jeden powód, żeby ją odtrącić. A że myśli o tym, poznała to po jego oczach. Czaił się w nich lęk przed nią. Tak spoglądali na nią ludzie po śmierci jej ojca, a także tamtego chłopca, jej pierwszego narzeczonego, którego tak jak ojca też zabiło morowe powietrze, zaledwie kilka dni później. Ci ludzie nie

chcieli przyjąć jej pod swój dach, bo bali się brać do siebie dziecko z domu dotkniętego zarazą. Zgodził się na to dopiero pewien hrabia w podeszłym wieku, który prawdopodobnie był już niespełna rozumu. Zresztą wkrótce bardzo podupadł na zdrowiu i umarł.

Potem znów nikt nie chciał jej wziąć. Dopiero rodzice Johna przyjęli ją jak swoją córkę. Więcej - zapragnęli, aby stało się tak naprawdę i zaręczyli ją z Johnem. Wielka wdzięczność do przybranych rodziców wkrótce przerodziła się u niej w głęboką miłość, tę miłość przelała na ich potomstwo. Najpierw na Johna, wymarzonego rycerza w świecącej zbroi, potem całym sercem pokochała małego Waltera, którego piastowała od dnia jego narodzin. Do niej zresztą powiedział swoje pierwsze słowa, i ją nazywał mamą, rozbawiając tym swoją własną matkę.

Kiedy lady Greycourt, ta szlachetna osoba o gołębiu sercu, leżała na łożu śmierci, Alys obiecała jej, że dalej będzie matkować małemu Walterowi. Jeśli jednak John, powodowany niesłusznym żalem i gniewem, odrzuci ją, wówczas mały Walter po raz drugi zostanie sierotą. A ona nie będzie mogła dotrzymać też drugiej obietnicy, złożonej przybranej matce. Jak ma dbać o szczęście Johna, jeśli nie zostanie jego żoną?

John omal nie potknął się o chłopca, który przycupnął pod ścianą na schodach, spowitych już w mrok.

- Głupie swawole - rzucił gniewnie. - Musiałeś akurat tu się schować?

- Czekałem na ciebie, milordzie - odparł z powagą chłopiec. - Czy Alys już ci o tym powiedziała?

- A o czymże miała mi powiedzieć?

- O tym, że chcę dać ci mojego ukochanego Trubadura. Alys powiedziała, że nie muszę tego robić. Ale ja chcę. Bo chcę, żebyś mnie polubił...

- Powiedziałaś... trubadura? Nie rozumiem. Chcesz mi podarować minstrela (Minstrele (ang. franc), menestrel - średniowieczni śpiewacy lub recytatorzy franc, odtwórcy poezji trubadurów i truwerów, z akompaniamentem wiele (średniow. skrzypce) i harfy; często sami komponowali tańce i pieśni. (Przyp. red.))?

- Och, nie! - zawołał chłopiec i roześmiał się. - To pies, widziałeś go w sali zamkowej. Kiedy był szczeniakiem, skomlał i pisał całe noce, dlatego tak go nazwaliśmy.

John też się roześmiał i przysiadł na stopniu, obok chłopca.

- Czyli spodziewasz się, że jak rozstaniesz się ze swoim skarbem, to cię polubię. A jak ci na imię, chłopcze?

- Walter, milordzie. Już raz mnie widziałeś, na dziedzińcu, kiedy przyjechałeś. Pamiętasz?

- Ach, to ty jesteś tym małym kuglarzem. Jakże mógłbym tego nie pamiętać! A powiedz mi, Walterze, kim jest dla ciebie lady Alys?

- To moja matka, milordzie! Jest dla mnie bardzo dobra, najlepsza ze wszystkich. Chociaż... jak coś zbroję, potrafi dać mi porządnie w skórę. A jak...

- Matka? - John przerwał chłopcu niecierpliwym głosem.

Malec skinął potakująco głową.

- Ale muszę nazywać ją Alys, jakby była moją siostrą. Tak mi kazała - wyjaśnił i zerwał się na równe nogi. - Chodź, panie, obejrzyj sobie Trubadura. To dobry pies. Grzał ci już nogi, kiedy siedziałeś przed kominkiem, a ty go nawet nie pogłaskałeś...

- Nie pogłaskałem, ale za to już go sobie dobrze obejrzałem - mruknął John i też wstał. Z twardym postanowieniem odbycia natychmiastowej rozmowy z rządcą. Musi się przecież dowiedzieć, jak to się stało, że rodzice Johna nadal trzymali Alys pod swoim dachem, ją i tego jej

bękarta. A może Alys padła ofiarą napaści? Urodzenie dziecka nie byłoby wtedy jej przewinieniem, dlatego mogła pozostać w Hetherston.

Alys wspomniała o liście, który ponoć napisała do niego matka. Ale John tego listu nie otrzymał. Otrzymał ich zresztą bardzo niewiele. Większość listów - oprócz tych od Jego Królewskiej Mości - ginęła gdzieś w drodze, nie nadążając za wojskami diuka, które dość szybko maszerowały na przemian z Francji do Hiszpanii i z powrotem.

- Ile masz lat, Walterze?

- Pięć.

Matka zmarła przed rokiem. Alys powiadomiła go o tym w swoim krótkim liście, nie wspomniała jednak ani słowem o dziecku. Ani ojciec, ale on w swoich listach poruszał zwykle tylko kwestie polityczne. Podsycał sympatię syna do króla i podsuwał mu nazwiska baronów, na których John mógłby się oprzeć.

John pomyślał, że musi jak najszybciej poznać prawdę o Alys. Jeśli z własnej woli oddała się innemu mężczyźnie, był to wystarczający powód do zerwania zrzekowin. A jeśli było inaczej? Rodzice przecież jej nie odtrącili. Ani jej, ani tego chłopca...

Wstał.

- Chciałbym, Walterze, żebyś to ty opiekował się tym psem. Zadbał, aby był zawsze najedzony, czysty i nie miał pcheł.

Chłopczyk spojrzał na niego niepewnym wzrokiem.

- Ale ty... ty chcesz, żeby on był twój?

- Oczywiście! Przyjmuję twój podarek i dziękuję ci za niego z całego serca. Ale pies przywykł już do ciebie. Dlaczego więc to nie ty miałbyś się o niego troszczyć?

Twarz dziecka rozpromieniła się.

- Będę się o niego troszczyć! Zawsze! - obiecał żarliwie i już go nie było.

A John zaczął wchodzić po schodach. Powoli, bo na duszy było mu ciężko. Jakże nie chciał, żeby Alys okazała się wobec niego obłudna! Tak bardzo pragnął uwierzyć, że jest dobrą, uczciwą kobietą, taką, jaka wydała mu się na początku.

Niestety, może być inaczej. Jej radosna gorliwość i chęć dogodzenia mu, być może, wcale nie wypływają z potrzeby serca, a służą konkretnemu celowi...

Kiedy wychodził z sali zamkowej, nagle usłyszał za sobą dźwięczny, wesoły głos.

- Trzeba przyznać, że postąpiłeś bardzo chytrze! Słyszałam, że podarek przyjąłeś, ale opieką nad psem obarczyłeś Waltera!

Wtedy pomyślał, że sprawę Waltera można wyjaśnić od razu, tu i teraz.

- Chłopiec mówi, że ty jesteś jego matką. Uśmiech znikł z twarzy Alys, zauważył, że jej oczy wilgotnieją. Ale łzy nie pociekły po policzkach.

- I ty... ty myślisz, że urodziłam dziecko i utrzymywałam to w tajemnicy?

- A dlaczego niby chłopiec miałby kłamać? - spytał ostrym głosem. - To twoje dziecko, Alys?

- Moje - przytaknęła. Jej głos był bardzo spokojny, słowa wyważone. - A dokładniej, tak samo moje, jak Trubadur jest teraz twój albo Waltera, milordzie. Walter to żywy podarek, oddany mi pod opiekę. Nie ja go urodziłam, ale pomogłam mu przyjść na świat i jestem jego piastunką. Kocham go i w moim sercu on jest mój.

- Popytam innych. Dowiem się, czy mówisz prawdę!

- Pytaj! Najlepiej zacznij od ojca Stefana! Zaszumiały spódnice. Alys oddaliła się od niego prawie biegiem. Czyli w końcu miał sposobność ujrzeć ją w gniewie.

Jej gniew był słuszny, jeśli powiedziała prawdę. Przecież oskarżył ją o spółkowanie pozamałżeńskie i o kłamstwo. Oskarżył ją pochopnie, co oznaczało, że takt i subtelność opuściły go w którymś momencie podczas kampanii w Hiszpanii. A może on nigdy ich nie posiadał? Kobiety, z którymi dotychczas miał do czynienia, nie wymagały od rycerza dobrych obyczajów.

Musi koniecznie znaleźć potwierdzenie jej słów. Chociażby po to, żeby na duszy nie było mu tak ciężko...

ROZDZIAŁ TRZECI

- Lord John? Czy możesz mi poświęcić chwilkę, panie?

Miły dla ucha kobiecy głos zmusił Johna do poniechania ponurych rozmyślań. Zbliżyła się do niego dama, o której wiedział, że to kuzynka Alys. Przedstawiono ich sobie podczas wieczerzy. Zamienili wtedy ze sobą tylko kilka zdawkowych słów, potem jednak John zauważył, że owa dama bardzo często rzuca na niego ukradkowe spojrzenia.

Wyciągnęła do niego rękę. Białą, wypielegnowaną, bez żadnej plamki. Paznokcie były długie i wypolerowane. Twarz nieskazitelna, zbyt nieskazitelna, aby wyglądać naturalnie. Prawdziwa dworska piękność, która swą urodę podkreśla różnymi mazidłami. I nie umywa się nawet do świeżej, naturalnej urody Alys!

- Lady Thomasine!

- Ostatniego wieczoru pochłonięty byłeś, panie, rozmową, dlatego nie zdecydowałam się przystąpić do ciebie. A skoro już poznajomiliśmy się ze sobą, z wielką ochotą pogawędziłabym z tobą dłużej.

John ujął jej dłoń i musnął wargami.

- Dla mnie gawędzić z tak uroczą damą to przyjemność największa - powiedział, jak gładki dworzanin, choć daleki był od uwierzenia w swoje własne słowa. Dama roztaczała wokół siebie ciężki zapach róż. Ta woń, w połączeniu z nieszczerym uśmiechem, drażniła go. A w zielonych kocich oczach dostrzegał obłudne błyski.

Uśmiechnęła się, ukazując drobne białe ząbki. Smukłe palce zacisnęły się wokół jego dłoni.

- Nie, milordzie. To dla mnie przyjemność nadzwyczajna. Alys nigdy mi nie powiedziała, że jesteś taki przystojny. Chociaż ona może nigdy tego nie dostrzegła!

- Kiedy poznałem Alys, była jeszcze dzieckiem. Miała jedenaście lat, ważniejsze dla niej były lalki i ulubione zwierzęta...

- Bez wątpienia. Głupiutka ta Alys! - Thomasine lekko wydeła różowe usta pociągnięte różaną maścią. - Ja, kiedy miałam jedenaście lat, potrafiłam już dostrzec piękno w mężczyźnie. A ty, milordzie, przecież od razu zwracasz uwagę swoją wielką urodą.

Spojrzenie damy z uznaniem przemknęło po całej jego postaci. Czyli kuzynka Alys umizgała się do niego. Niesłychane! I jak pozbyć się tej natrętnej istoty? Ucieczka wydawała się najlepszym sposobem.

- Wybacz, pani, że ją opuszczę. Ciągle jeszcze słabuję.

- Och! Mam nadzieję, że szybko dojdiesz do sił, milordzie, i będzie można nacieszyć się twoim towarzystwem.

Nagle tuż obok nich pojawiła się Alys.

- Odejdź, Thomasine - rzuciła rozkazującym głosem.

Po raz pierwszy usłyszał u niej taki ton i zobaczył twarz bez uśmiechu. Czyżby pokazywała swoje prawdziwe oblicze?

Odczekała, aż kuzynka oddali się od nich, wtedy znów przemówiła, głosem już nieco łagodniejszym.

- Ojciec Stefan niebawem tu się zjawi. Zezwoliłam mu na powtórzenie ci wszystkiego, co mu wyznałam podczas spowiedzi w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Ależ, Alys! Ja wcale tego nie żądam, nie mam zresztą do tego prawa. Jeśli sama mi powiesz, że nie uczyniłaś niczego zdrożnego, uwierzę ci.

- Chcę, żebyś porozmawiał z ojcem Stefanem. Poproś go, aby opowiedział ci o narodzinach twojego brata.

- Kogo?!

John czuł, że braknie mu tchu.

- Brata. Twojego brata. Pobladłeś, John. Lepiej usiądź i czekaj tu na ojca Stefana.

Usiadł na krześle i zamknął oczy, mamrocząc pod nosem:

- Ja... ja nie wiedziałem... O niczym nie wiedziałem...

Gdy otworzył oczy, Alys była już w połowie drogi przez zamkową salę.

Po chwili do sali wszedł ksiądz i John wysłuchał opowieści o tym, jak jego matka w wielkim bólu i cierpieniu urodziła Waltera, omal nie przyplacając tego życiem. Dowiedział się, jak Alys przez następne lata prawie nie odstępowała jej na krok. A matka tuż przed śmiercią prosiła Alys, by przyrzekła jej, że odchowa Waltera, póki chłopiec nie ukończy siedmiu lat i nie przejdzie pod opiekę rycerza, który przysposobi go do stanu rycerskiego. Ojciec Johna, zrozpaczony po stracie żony, nigdy już nie doszedł do siebie. John uzmysłowił sobie, że Alys nie tylko dźwigała na sobie ciężar zarządzania Hetherston, ale również zastępowała jego bratu rodziców.

Fakt, że ma brata, napawał go radością. Jaka ulga, że ma już dziedzica! Po śmierci Johna Walter odziedziczy tytuł i rodowe włości nie przejdą na kogoś obcego, wyznaczonego przez króla.

Kiedy ksiądz odszedł, pojawiła się znów Alys i podała Johnowi puchar z winem.

- Wypij, John. A potem koniecznie powinienes się położyć.

Nadal troszczyła się o niego! To było zdumiewające.

- Potrafisz mi wybaczyć moje nieopatrzne słowa, Alys?

- Nie mam do ciebie żalu, John. Przez prawie rok żyłeś otoczony wrogimi sobie ludźmi. Nic dziwnego, że teraz nikogo nie darzysz zaufaniem. Potrafię to zrozumieć, bo sama po stracie rodziców zrobiłam się bardzo nieufna. Potem zmieniło się to, ale nadal jestem bardzo ostrożna. Ufam tylko tym, których dobrze znam.

- Mnie przecież nie znasz, Alys. A bez wahania chcesz oddać mi siebie i swoje włości.

Napił się wina. Trunek rozgrzewał jego krew i miał kojący wpływ na jego nerwy. Dopiero teraz odczuł ulgę na myśl, że Alys pozostała nietknięta. Wielką ulgę, mimo że nadal wcale nie zamierzał jej poślubić.

- Znam cię, John - powiedziała stanowczym głosem Alys.
- Choć nie było cię w Hetherston, nie było też i dnia, żeby ktoś o tobie nie wspomniał. Poznałam twoje upodobania i marzenia, nawet dziecinne psoty i kary, jakie za nie otrzymałeś. Nie zapominaj też, że byłam tu w dniu, w którym zostałeś pasowany na rycerza. Takim zachowałam cię w pamięci, a mężczyzna niewiele się zmienia od tego dnia, w którym staje się dorosły.

Słodka, naiwna Alys! Nie mogła się bardziej mylić. On sam wiedział najlepiej, jak różne koleje losu, dobre i złe, często sprawiają, że człowiekowi nagle przybywa lat!

- Musisz dużo wypoczywać, John. I nie uda ci się mnie przekonać, że stałeś się cyniczny. Ten zły nastrój minie.

- Chcesz sama o to zadbać? Czy mam cię nazywać świętą Alys?

- Przynajmniej nie jestem grzesznicą, jak myślałeś. A teraz wybacz, nawet święci mają swoje obowiązki.

Odebrała od niego pusty puchar i odeszła. A on przymknął oczy i modlił się w duchu o pociechę i dobrą radę. Co robić? Wybaczyła mu jego oskarżenia, ale on i tak z każdą chwilą czuł się coraz bardziej winny. Przecież tej kobiecie, dobrej jak anioł, chciał odebrać wszelką nadzieję. Chciał, a jednocześnie wiedział, że jeśli będzie z tym dłużej zwlekał, nie zrobi tego nigdy.

Skinął na jednego ze służących i spytał, dokąd poszła lady Alys. Dowiedział się, że do swojej komnaty. Znał dobrze tę komnatę, tu spędzał większość czasu jako dziecko, do chwili,

gdy matka - w tej właśnie komnacie - oznajmiła mu, że będzie musiał wyjechać z Hetherston i służyć Lancasterom.

Była bardzo blada, kiedy z wymuszonym uśmiechem mówiła mu, jak wielki honor ją spotkał, że to właśnie jej syn został wybrany.

Mały John wiedział dobrze, że taka jest kolej rzeczy. Dlatego nie płakał, nie błagał jej, aby go nie wysyłano z domu. Chociaż w duszy wylał morze łez. A kiedy łzy wyschły, pomyślał - dobrze. Będzie rycerzem. A to miejsce, Hetherston, wymaże ze swego serca.

Stanął w progu i przez chwilę patrzył, jak Alys niecierpliwymi palcami próbuje rozplątać kłębek jedwabnych nici. Siedziała przy krosnach, tych samych, przy których siadywała matka.

- Czy mogę wejść? - spytał, w pełni świadomy, że ta komnata jest domeną kobiet i nie powinno się do niej wkraczać bez wyraźnego zaproszenia. Nawet, jeśli się było panem tego zamku.

- Oczywiście! Wejdz, John! Westchnęła, przycisnęła kłębek splątanych

nici do podołka i smętnym wzrokiem spojrzała na gobelin.

- Zaczęła go tkać twoja matka. A ja chcę go skończyć...

W jej głosie słyhać było niepewność. Coś niebywałego u Alys of Camoy!

- Nie jesteś w tym biegła?

- Nie! - wyznała bez wahania. - Chociaż bardzo się staram!

- Ale na pewno jesteś biegła w czymś innym?

- Chyba tak... Umiem przypilnować innych przy pracy. Dobrze jeżdżę konno. I nieźle sobie radzę z liczbami i literami.

- Umiesz pisać? - spytał, szczerze zaskoczony. Większość kobiet nie posiadała tej umiejętności.

- Tak. Potrafię. I lubię rysować obrazki inkaustem. Nie pojmuję więc, dlaczego nie potrafię tych rysunków odtworzyć kolorowymi nitkami?

John spojrział ponownie na gobelin, na którym przedstawiony był ogród i kilka postaci. Był piękny.

- Sama wymyśliłaś ten wzór?

- Tak.

- Dlaczego nie najmiesz jakiejś kobiety, żeby to skończyła?

- Bo uparłam się, że skończę to sama. I skończę, chyba że... - Alys zrobiła zabawny grymas - chyba że nie zdążę, bo wcześniej ten gobelin mnie wykończy!

John odrzucił głowę w tył i zaśmiał się głośno. Od jak dawna nie śmiał się tak serdecznie?

- Drwisz sobie ze mnie! A ja naprawdę jestem zdecydowana! - rzuciła ze śmiechem Alys. - Kobiety rzadko dokonują wiekopomnych czynów, o których potem śpiewa się w sali zamkowej. Pozostawiamy potomnym tylko tego rodzaju drobne zwycięstwa! Ale przede wszystkim... - twarz Alys spoważniała - to mój hołd dla twojej matki. Ona zaczęła ten gobelin, a ja chcę go skończyć...

- Kochałaś ją. A ona kochała ciebie.

- Tak. Chociaż nawet w połowie nie kochała mnie tak, jak ciebie i Waltera.

- Wątpię, czy kochała mnie tak bardzo, jak ci się wydaje. Gdyby moi rodzice żyli, mały Walter jeszcze tylko przez dwa lata cieszyłby się ich miłością. Też wysłaliby go do obcych, jak mnie, a na osłodę sprowadziliby sobie tutaj przyszłą synową. Taką drugą małą Alys.

- Jesteś niesprawiedliwy, John. Wiesz dobrze, że taki jest obyczaj, twoi rodzice nie mogli się temu sprzeciwić.

- Przeklęty obyczaj, który nakazuje siedmioletnie dziecko odrywać od rodziców i od małego przysposabiać do stanu rycerskiego. Walter nie powinien opuszczać Hetherston!

- Drugi syn zwykle służy kościołowi albo królowi.

- Ale tym razem będzie inaczej!

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Alys nie mógł być bardziej promienny.

- Och, John! I ty myślisz, że ja cię nie znam? Przecież ja wcale nie przygotowywałam sobie żadnej błagalnej prośby, bo wiedziałam z góry, że pozwolisz mu zostać!

- Ty... myślisz podobnie?

- Pragnę z całego serca, aby mały Walter rósł tutaj, w Hetherston!

John, urzeczony pełnym uwielbienia, lśniącym od łez spojrzeniem i słodkim uśmiechem, na jedną chwilę przestał myśleć jasno. Był owładnięty nagle jednym przemożnym pragnieniem - pocałunku. Zapragnął go rozpaczliwie, rozsądek jednak nakazał tę chęć poskromić. Zdawał sobie sprawę, że jego żądza do powabnej Alys będzie coraz silniejsza i coraz trudniej będzie zdecydować się na zwrócenie jej słowa. Teraz też przecież się nie powiodło. Do tej komnaty przyszedł z mocnym postanowieniem doprowadzenia rzeczy całej do końca i poniósł fiasko.

Jak zrobić przykrość kobiecie, nie tylko powabnej, lecz miłej i zgodnej? Czy miłej dla wszystkich? Chyba tak, bo ludzie z Hetherston bardzo ją poważają. Ba! Nawet więcej - daliby się za nią posiekać. A on w swoim zamku ciągle czuł się jak ktoś obcy.

Może jednak powinien sprawdzić, czy Alys jest aż tak zgodna, że godzi się na wszystkie jego propozycje? Trzeba znaleźć na nią jakiś haczyk...

Rozejrzał się po komnacie, bardzo uważnie, niby z wielką ciekawością. Jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Jego wzrok

nieco dłużej zatrzymał się na oknach z szybkami, na wyściełanych ławach ustawionych pod oknami.

- Piękna komnata... - mruknął. - W sam raz dla pana tego zamku.

Podniosła głowę znad kłębka jedwabnych nici, które znów usiłowała rozplątać.

- Masz rację. A łożo należy ustawić na wprost okna.

- Alys...

Zerwała się z krzesła i, rozpromieniona, pobiegła do drzwi. W progu rzuciła przez ramię:

- Że też ja o tym wcześniej nie pomyślałam! Zaraz każę przenieść tu twoje rzeczy!

John potrząsnął głową, zmarszczył nos, wszystko po to, by ukryć swoje zmieszanie.

Wielki Boże! Ratuj mnie! I co mam począć z tą powabną istotą? Bo niestety tylko jedno mi w głowie. Coś, co uczyniłbym z największą ochotą i za przyzwoleniem Alys...

Tego był pewien. Ale gdyby to uczynił, przypieczętowałby swój los. Jako jej mąż.

Przez następne dwa dni John starannie unikał Alys. Jeśli zdarzyło im się natknąć na siebie, witał ją tylko i odchodził w swoją stronę. Dlaczego¹? - Dlatego, że naprawdę nie wiedział, co począć. Z jednej strony zdecydowany był zwrócić jej słowo, choć wiedział, jak bardzo zrani tym jej czułe, wrażliwe serce. Z drugiej strony - przecież on ją chciał! Ale oczywiście nie na żonę. Niestety, istniał tylko jeden honorowy sposób spełnienia jego pragnień - małżeństwo. Czyli wracał do punktu wyjścia. Dlatego postanowił po prostu odczekać. W końcu jeszcze czas jakiś musi pozostać w Hetherston. Jest jeszcze zbyt słaby, żeby nosić pełną zbroję, za wcześnie też rozglądać się po okolicy w poszukiwaniu konia odpowiedniego dla rycerza.

Wiele czasu spędzał w swej nowej komnacie, ćwiczył ciało, często zażywał kąpieli. Przeczytał też kilka książek, które pozostały po ojcu. Nowa komnata okazała się bardzo wygodna, ale jednej] rzeczy bardzo mu brakowało. Krosien z niedokończonym gobelinem. Niestety, wywędrowały stąd. Do której komnaty? Czy Alys ma tam dobre światło? A może nie i dlatego poniechała tkania? Do diabła! Przecież on był najdalszy od tego, żeby stwarzać jej jakieś niewygody!

Na szczęście sama Alys wcale nie wyglądała na niezadowoloną. Zamiast narzekać pod nosem, że zabrano jej wygodny kąć, nadal była promienna i pełna zapału. Kazała zasłać posadzkę miękkimi kobiercami i powiesić pod baldachimem nad łóżem nowe, grube zasłony. Na wypadek, gdyby John zapragnął snu w ciągu dnia.

Przez dwa kolejne dni posiłki spożywał samotnie, w zaciszu swojej komnaty. Stało się tak, bo już dawno zauważył, że widok czyichś ust pełnych jedzenia odbiera mu apetyt. A on musiał bardzo wolno napełniać swój żołądek po tym roku niewoli, gdzie omal nie zamorzono go głodem. Na szczęście, sił przybywało. Ból po stracie rodziców nie był już tak dotkliwy, a umysł odzyskiwał poprzednią bystrość.

I zaprzątnięty był wyłącznie osobą Alys. Jak to będzie, kiedy odtrąci tak oddaną sobie istotę? I tak ponętą. Ilekroć przypominał sobie jej krągłe piersi w wycięciu skromnej sukni czy kuszące kołysanie bioder, jego ciało ogarniał płomień. I za ten płomień był Alys ogromnie wdzięczny, bo bał się już, że głodzony i bity przez Hiszpanów przestał być mężczyzną.

Alys, śliczna, radosna, kochana przez wszystkich. Oprócz Thomasine. Wyczuł to od razu, choć z lady Thomasine miał tylko raz do czynienia. Potraktował ją chłodno, może dlatego nie przystępowała już do niego. Ale on i tak miał przecucie, że owa dama z jakiegoś powodu chce poróżnić go z Alys. Trapiło go to tak bardzo, że trzeciego dnia, kiedy szykował się

do zejścia na wieczerzę do sali zamkowej, postanowił pomówić o tym z Simonem.

Simon, jak się okazało, miał już wyrobione zdanie o lady Thomasine.

- Prawdziwa wiedźma i okropna plotkara

- oświadczył krótko, sięgając po jedną z nowych jopul, których całe naręczce przyniesiono z polecenia Alys. Krój i haft były nadzwyczajne, aksamit rzadki i drogi. John zastanawiał się, czy jopule te uszyła Alys, mimo swej niechęci do nici i igły. Jeśli tak, to są warte dwa razy tyle. Jeśli nie

- i tak należy docenić jej troskę. Alys na pewno będzie wspaniałą żoną. Ale nie jego, bo jemu żona niepotrzebna. Powinien jednak jakoś okazać jej swoją przychylność. Wynagrodzić za to, co zrobiła dla Hetherston, i co nadal robi.

- Simonie, pora pomyśleć o nowej zbroi.

Wyślij kogoś do Londynu, niech wyszuka i przywiezie tu zręcznego płatnerza. A poza tym trzeba przywieźć kilka podarków dla lady Alys. Odchowała mojego brata i była panią tego zamku. To wszystko zresztą czyni nadal, dlatego chcę się jej jakoś odwdzięczyć.

I osłodzić gorzkie chwile, kiedy zwróci jej słowo...

Simon pomógł swemu panu nałożyć jopulę, obciągnął ją, wygładził na ramionach i rzucił oschle:

- Zaiste, dobra pora na rozdawanie podarków, kiedy w sakiewce pustki! Lancaster zalega ci za cały rok!

- A tak... Stary sknera! - John prychnął gniewnie. - Poszukam rządcy i wezmę coś ze szkatuły. Na podarki i na zapłatę dla ciebie, Simonie.

- To ty jeszcze nie spotkałeś się z rządcą, panie? Nie pokazał ci ksiąg?

John westchnął.

- Nawet o tym nie pomyślałem. A Bóg jeden wie, co tu się działo po śmierci mojego ojca. Powinienem to sprawdzić.

- A lady Alys z ulgą pozbędzie się tego ciężaru!

- Nie wierzę, żeby ona prowadziła księgi, Simonie. Na pewno robił to rządcą. A teraz ja powinienem tym się zająć. Dopóki tu jestem. Przecież już prawie wróciłem do sił.

- Bogu niech będą dzięki... Twój łańcuch, panie. Proszę, odwróć się.

John odwrócił się tyłem i przytrzymał srebrne ogniwa, kiedy Simon spinał mu na plecach oba końce łańcucha. Ten łańcuch ojciec Johna miał na sobie, kiedy widział się z synem po raz ostatni. Jakże ciężki jest ten łańcuch... Ale wkrótce John nie poczuje jego ciężaru, z każdym dniem przybywało mu sił. Był już nawet gotów zacząć krótkie ćwiczenia, o ile znajdzie się tu jakiś rycerz dobrze władający mieczem.

Jakiś rycerz... A gdzie właściwie podzieli się rycerze ojca? Nie widać ich w sali zamkowej. Trzeba będzie o nich popytać...

Poklepał się po szerokiej piersi, potem rozprostował ramiona.

- Idziemy na wieczerzę, Simonie. Dziś czuję się jak nowo narodzony.

- I odziany jesteś, panie, należycie. A tamte stare łańcuchy wyrzucę.

John zaśmiał się.

- Ale z ciebie zuchwalec!

- Mogę być i zuchwalcem, panie, o ile wkrótce dodasz do mego nazwiska „sir”!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Alys z trudem udawało się zachować spokój. John znów ją oskarżył. O kłamstwo! Rzucił jej to oskarżenie w twarz, w chwili, gdy nadziewał barana na szpikulec. A ona miała wrażenie, jakby ten szpikulec wbijał się w jej serce.

- Powtarzam, John. Nie ma żadnego rządcy. Kiedy Albert Donegal posunął się w latach, twój ojciec i ja przejęliśmy część jego powinności, ale w rachowaniu Donegal nadal był niezastąpiony. Niestety, on ma już siedemdziesiąt pięć lat! Zaczął bardzo niedomagać, dlatego wyjechał do Yorku, do córki, która wyszła za złotnika.

- A kto po śmierci ojca prowadził księgi? Wskaż mi go. - Spojrzenie Johna przemknęło po twarzach współbiesiadników. - Po wieczerzy chcę z nim porozmawiać.

- Z nią - poprawiła Alys, błagając w duchu niebios, by pomogły jej zachować spokój. - Możemy porozmawiać choćby zaraz, chociaż najpierw wolałabym zjeść. A poza tym powinienes obejrzeć księgi.

- Ty? - W oczach Johna pojawił się gniew, pomieszany z największym zdumieniem. - Jak mogłaś poważyc się na coś takiego?

- Mogłam. Ktoś musiał poprowadzić księgi, a ja byłam z nimi obeznana, przedtem pomagałam twojemu ojcu i Albertowi. A poza tym nie miałam takiej władzy, żeby nając kogoś. Nie martw się, John, nie popełniłam żadnych błędów.

John nie odpowiadał, tylko natarł nożem na baraninę z takim impetem, jakby zwierzę nie zostało jeszcze zabite i upieczone.

- A gdzie są moi rycerze? - spytał nagle donośnym głosem, wskazując nożem na stoły ustawione niżej.

- Sir Brian Copely, sir Robin Nithing i sir Royston of Gale udali się w drogę przez Francję do Hiszpanii, żeby cię uwolnić.

Nóż omal nie wypadł mu z ręki.

- Co?! Kiedy?!

- Sześć miesięcy temu. Wyjechali wkrótce potem, kiedy dotarła do nas wieść, że jesteś w niewoli.

- Wieźli okup?

- Oczywiście! Jakże inaczej mieliśmy cię uwolnić? W księgach jest dokładnie zapisane, ile złota wzięli ze sobą. Dlatego zresztą w naszej szkatule nie jest teraz tyle, ile być powinno. Ale to się zmieni po tegorocznych zbiorach.

- Ten okup nigdy nie został zapłacony, Alys!

- Zapłaciłam go, John!

- Nie!

Nagle huknął pięścią o stół. Wyraz jego twarzy był taki, że poczuła serce w gardle. John wyglądał na rozwścieczonego. I prawdopodobnie tak właśnie było.

- Okup został zapłacony - powtórzyła, starając się, żeby w jej głosie nie było cienia wzburzenia. - I ty, John, wróciłeś do domu. Nasza szkatuła znów będzie pełna. Wszystko będzie dobrze.

Rozmowy przy stole ucichły. Wszyscy patrzyli na stół na podwyższeniu, zaskoczeni nagłą zmianą nastroju lorda. Lord zasiadł do stołu, uśmiechając się na prawo i na lewo. Teraz wyglądał na kogoś, kto gotów jest zabić.

Alys jadła dalej. Potem, kiedy nadeszła pora, dała znak, aby wniesiono nowe danie. Napiła się wina z pucharu, który dzieliła razem z Johnem, mimo że John wcale jej tego pucharu nie podał.

Przez wszystkie te dni, jakie minęły od przybycia Johna do Hetherston, Alys pozostawiła Johna samemu sobie. Chciała, żeby wydobrzeał i przywykł do swojego domu. Podsyłała mu wszystko, co jej zdaniem było mu potrzebne. A on za jej troskę odpłaca się, wysuwając wobec niej straszliwe oskarżenie.

- John? Powiedz, w czym rzecz? - spytała. John utkwił w niej płonący wzrok. Odłożył nóż, odsunął od siebie talerz i rozparł się w swoim krześle. Nagle przycisnął palce do skroni i potrząsnął głową.

- To... to niemożliwe!

- Co niemożliwe?!

Jej cierpliwość wyczerpała się. Zerwała się z krzesła.

- Niemożliwe? - krzyknęła. - Wiesz, co dla ciebie przede wszystkim jest niemożliwe? Żebym została żoną takiego bogatego lorda, jak ty! Nie chcesz mnie, to jest jasne i przejrzyste jak woda w źródle! Dlatego umyśliłeś sobie taki właśnie powód! Ze nie zapłaciłam za twoją wolność! A ja ci powiem krótko, milordzie! Zapłacone, nie zapłacone, ty i tak będziesz moim mężem!

Stała, górując nad nim. Ręce kurczowo wczepione w spódnicę. Żeby je poskromić, bo tak bardzo chciały zacisnąć się na jego gardle.

- Ożenisz się ze mną, bo dałeś słowo! Zrobisz to jeszcze przed upływem tego miesiąca! Jeśli nie, oskarżę cię o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa i zażądam zwrotu zysków z moich włości przez ostatnie dziesięć lat! Staniesz się żebrakiem!

Patrzył, jak wychodziła z zamkowej sali. Żadnego kuszącego kołysania biodrami. Maszerowała jak wojak. Bo i była to wojna. Pole bitwy wyznaczone. I dobrze. Przynajmniej ujawniła swoją prawdziwą naturę. I widzieli to wszyscy.

Czy jej gniew był uzasadniony? Rycerzy przecież w zamku nie było. Jeśli Alys mówi prawdę, oznacza to, że złoto z Hetherston tylko zapełniło szkatułę Trastamary. Bo o swoją wolność John musiał zadbać sam, zostawiając na swej drodze martwe ciała co najmniej pół tuzina strażników.

- Jakaż to krewka istota... - mruknął, sięgając po puchar. Upił porządny łyk i rozsiadł się w krześle.

- Sekutnica, jak zawsze - odezwała się Thomasine, wyglądając spoza pleców ojca Stefana, który siedział po lewej ręce Johna. - Lepiej byś zrobił, panie, gdybyś oddał ją Ronciemu!

John, zasepiony, odwrócił się do niej.

- Ronci? A któż to taki?

- Nikt, milordzie - odezwał się ksiądz, rzuciwszy przedtem damie miażdżące spojrzenie. - Lady Alys była ci wierna, a usposobienie ma anielskie. Jest tylko przemęczona nadmiernymi obowiązkami, stąd ten chwilowy brak panowania nad sobą. Za chwilę wróci tu z uśmiechem na ustach. Zaręczam!

- Tak, tak... Pełnym obłudy - mruknął John. - Przecież ona chce uczynić mnie żebrakiem!

- Tylko wtedy, kiedy odmówisz należnych jej praw, milordzie! - przypomniał ksiądz, ale John już nie słuchał. Słowa kuzynki Alys o innym kandydacie do ręki Alys zaintrygowały go. Więcej: dziwnie go zaniepokoiły. Nigdy nie słyszał o żadnym sir Roncim. Ale nie miał zamiaru pytać o niego tej fałszywej kotki, Thomasine.

- Dokąd ona mogła pójść? - spytał.

- Najprawdopodobniej do stajni - powiedział ksiądz i westchnął. - Ona, niestety, chyba znajduje tam większą pociechę niż w kaplicy.

John szybkim krokiem przemierzył salę zamkową. Kiedy zszedł po schodach na dziedziniec, uświadomił sobie, że towarzyszy mu jego mały braciszek.

- Zostań tutaj, Walterze!

- Nie!

Chłopiec z całej siły wyciągał nogi, żeby dotrzymać mu kroku.

- Proszę, za karę nie pozwól jej jeść puddingu - powiedział drżącym głosem - ale nie bij jej! Bo jeśli ją uderzysz, to ja... ja cię zabiję!

John stanął jak wryty i spojrzał uważnie na Waltera. Puciołowate policzki chłopca były mokre od łez.

- Co powiedziałaś, Walterze?

- Że cię zabiję! Alys nie ma nikogo, kto by jej bronił. Tylko mnie. A ja mam nóż!

W lewej ręczce chłopiec ścisnął mały nożyk o tępym ostrzu. Musiał być zafascynowany odwagą Alys, stąd u niego tak wielka desperacja.

- Jeśli chcesz kogoś pchnąć, Walterze, trzymaj ostrzem do góry - powiedział spokojnym głosem John. - A poza tym...

Przykucnął, żeby nie górować nad małym braciszkiem.

- Nigdy bym nie uderzył Alys. Jestem rycerzem, Walterze, a rycerz walczy w obronie słabszych, nigdy ich nie krzywdzi.

Chłopiec głośno pociągnął nosem.

- Ale ty... ty nie chcesz się z nią ożenić! Proszę, proszę, ożeń się z nią!

John westchnął i wstał z kolan.

- Wybacz, Walterze, ale to nie twoja sprawa. Ty nie rozumiesz...

- Rozumiem! Jeśli nie ożenisz się z Alys, ona odejdzie! A co my zrobimy, jeśli ona odejdzie?

Usiadł na schodach i rozplakał się na dobre. Łzy leciały jak groch, szczupłe ramionka drżały, a Johnowi serce się ścisnęło. Przysiadł koło braciszka, objął go i posadził sobie na kolanach. Malec wtulił twarz w jego jopulę i szlochał.

- Nie płacz, Walterze. Pójdę teraz do Alys i porozmawiam z nią. Jakoś się z nią ułożę i Alys tu zostanie. Masz moje słowo.

Pogłaskał płową czuprynkę.

- Weź się w garść, chłopcze. I uśmiechnij się do mnie!

Płacz ucichł. Chłopiec oderwał twarz od piersi Johna, pomyślał chwilę i oznajmił:

- Ale ja idę z tobą!

Alys próbowała ukoić swoją poobijaną dumę, głaszcząc wielkiego konia, któremu przebywanie w stajni wcale się nie podobało. Był bardzo niespokojny i tak samo jak Alys potrzebował pociechy. Nie skąpiła mu więc pieszczot. Głaskała gęstą czarną grzywę i policzki, poklepywała mocarną szyję. Och, gdyby mogła tak samo jak rumaka popieścić jego pana! Wypróbowała już wszystkie znane jej sposoby, żeby zdobyć jego względy. I co? I nic. A jej cierpliwość była na wyczerpaniu.

Dlatego dziś podczas wieczerzy popełniła niewybaczalny błąd. Nie osiągnęła nic, a John zapewne utwierdził się tylko w swojej decyzji zwrócenia jej słowa. Żaden mężczyzna nie pragnie żony, która spiera się z nim i łaja go w obecności licznej kompanii. I to w jego własnym zamku!

Łzy żalu spłynęły po jej policzkach. Była to u niej rzadkość, dotychczas opłakiwała tylko śmierć. Ale teraz nie mogła powstrzymać łez, przecież też żegnała na zawsze nadzieję na szczęście, na wymarzone życie u boku Johna.

- Och, Boże, jak mogłam być taka głupia? - szepnęła.

Wielki koń zarżał cicho, jakby chciał podnieść ją na duchu. A ona tak żałowała, że nie wzięła ze sobą jabłek, żeby odplacić się stworzeniu za jego przychyłność.

- Jakżebyś chciała, żeby twój pan choć po części był podobny do ciebie. Dobry i łagodny... Może on gdzieś tam w środku taki jest, tylko skrywa to głęboko. Ale ja tam dotrę, na pewno...

John wszedł do stajni, spojrzął i nagle poczuł, jak wszystko w nim zamiera. Chwycił Waltera za ramię i szepnął:

- Stój...

Alys stała na stołku przed drewnianą bramką i głąskała po chrapach wielkiego konia bojowego, Trampler (Trample (ang) - deptać, tratować). Imię w pełni zasłużone. John dosiadał Trampler (ang) tylko wtedy, gdy jechał na jakiś ważny turniej lub na pole bitwy. Gdyby Hiszpanie pojмали Johna na Tramplerze, a nie na tamtym koniu, ulubionym i nieodżałowanym... Gdyby...

Co będzie, jeśli Trampler czymś się spłoszy? Czy drewniane drągi wytrzymają napór tego mocarnego ciała?

Prawie bezszelestnie, na palcach, pokonał odległość dzielącą go od Alys. Mały Walter posuwał się za nim równie cicho.

- Alys... - szepnął John. - Zejdź z tego stołka i odejdz stąd.

Odwróciła się, nie przestając drapać Trampler (ang) za prawym uchem.

- Wcale nie mam zamiaru go dosiąść. Chcę się tylko z nim zaprzyjaźnić.

- Alys... Ten koń to morderca.

- Nonsens - obruszyła się i żartobliwie potargała grzywkę nad czołem konia.

John wstrzymał oddech. Palce Alys przesunęły się w dół, ku aksamitnym chrapom. Koń zarżał, zabrzmiało to prawie tak, jakby się zaśmiał. I położył uszy po sobie. O, Jezu...

- Alys, odejdz od niego! Natychmiast!

Ku jego wielkiej uldze, Alys, poklepawszy konia po raz ostatni, zeskoczyła ze stołka i wzięła Waltera za rękę.

- Chodź, skarbie. Pora spać.

John poszedł za nimi, niby spokojny, ale w dołku dalej go ścisnęło. Obejrzał się przez ramię. Groźny ogier stał sobie spokojnie, wyglądał łagodnie jak poczciwa krowa podczas przeżuwania.

- Milordzie, za pozwoleniem... - Pacholek, zajęty natłuszczeniem miedzianych części uzdy, poderwał głowę i uśmiechnął się z dumą. - Nasza lady Alys umie obchodzić się ze zwierzętami, jak mało kto!

Może i tak, ale ten jej lekkomyślny wybryk na pewno skrócił życie Johna o co najmniej dziesięć lat. Zastanawiał się nawet, czy aby nie posiwiął. Przed oczami wciąż mu się jawił straszliwy obraz zakrwawionego, nieruchomego ciała: Alys leżąca na ziemi, stratowana potężnymi kopytami Tramplerów...

Rozsierdzony, przyspieszył krok. Kiedy dochodził do Alys, mały Walter zadarł głowę i pisnął:

- Obiecałeś mi!

John, nie zważając na chłopca, odezwał się do Alys ostrym głosem:

- Trampler mógł cię zabić! Alys wydeła wargi.

- Och! Może tak byłoby lepiej? Oznaczałoby to koniec twojej niedoli!

- Dobrze wiesz, że nie w tym rzecz! I może powiesz mi łaskawie, dlaczego dziś jesteś na mnie taka zła?

- Nie podoba ci się to?! - Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz. - Dziwne! Przecież sam tego chciałeś! Od pierwszej chwili, kiedy powróciłeś do Hetherston, nieustannie wystawiasz moją cierpliwość na próbę!! Drażni cię moja troska, moja dobra wola, cała moja osoba. I w końcu udało ci się, John! Jestem zła, dlatego będziesz miał to, czego chciałeś! Zwracam ci słowo!

John milczał. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie przemawiała do niego w taki sposób. I co on teraz ma zrobić?

- Alys! Ale on się z tobą ożeni! Powiedział mi to! - Mały Walter chwycił Alys za rękę. Niebieskie oczy pod płową czuprynką spojrzały na Johna bardzo groźnie. - Zrobisz to, prawda?

John dalej milczał. Co ma powiedzieć? „Tak”? Przecież Alys i tak będzie przekonana, że zgodził się, ponieważ zagroziła mu oskarżeniem o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa! Dziwne jednak było to, że wyrażenie zgody wcale nie wydawało mu się wielkim poświęceniem. Żadnym, kiedy wpatrywał się teraz w twarz Alys of Camoy, oświetloną księżycową poświatą. Twarz zarumienioną ze wzburzenia i prześliczną. I jakaż ta dziewczyna jest dzielna! Zagniewana, rwie się od razu do walki! A taka krewkość może przecież dojść do głosu również w łóżu... Poza tym - on i tak wkrótce znów wyruszy do Francji. Czyli zasadniczo wszystko będzie po staremu...

- Dobrze, Alys. Poślubię cię.

Alys w odpowiedzi sapnęła gniewnie.

- Łaskawca! - Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do zamku. Jeszcze tylko rzuciła mu przez ramię: - Głupiec! Wydaje mu się, że jest takim łakomym kąskiem!

- Alys! - zawołał, podążając w ślad za nią.

- Ja tylko myślę, że z kimś innym mogłabyś wieść życie o wiele szczęśliwsze!

Wcale nie był urażony jej dosadnymi określeniami. Były bardzo celne.

- Alys! - zawołał nagle mały Walter, podążający w ślad za Johnem. - Nie opuszczaj nas! Ja się z tobą ożenię!

Alys przystanęła i wzniosła obie ręce ku niebiosom, błagając o pomoc. Spojrzała na nich obu, odwróciła się i jak strzała pomknęła do zamku.

- Przecież mogę to zrobić, prawda, John? - spytał niepewnym głosem chłopczyk. - Wiem, że ona mnie kocha.

- Niestety, Walterze, jesteś jeszcze na to za młody - powiedział z powagą John. - A poza tym prawo kościelne nie zezwala, żeby dwóch braci miało tę samą narzeczoną. Porozmawiam z Alys sam na sam, jestem pewien, że uda mi

się przekonać ją do pozostania w Hetherston. Przynajmniej na jakiś czas.

- Nie, teraz nie idź do niej, John. Odczekaj trochę, potem idź i powiedz, że jest ci bardzo przykro. I najlepiej popłacz się. Wtedy ona zmięknie.

- Dziękuję, Walterze. Skorzystam z twojej rady.

Oczywiście, że odczeka. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek prosił kogoś o wybaczenie, dlatego potrzebował trochę czasu na obmyślenie słów przeprosin. Bo przeprosi, na pewno. Szczerze żałował swego postępowania wobec Alys. Przeprosi, ale ślub nadal stoi pod znakiem zapytania. Bo Alys of Camoy prawdopodobnie już go nie zechce.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Alys, otwórz drzwi!

Cisza, więc zapukał ponownie.

- Alys! Otwórz drzwi! Rozkazuję ci! Musimy pomówić, a ty zachowujesz się jak nadąsane dziecko.

- Drzwi nie są zamknięte, John!

Stała tuż za nim, przyciskając do piersi grubą księgę, oprawioną w skórę.

- Myślałem, że jesteś w swojej komnacie...

- Ale mnie nie było. Poszłam po księgę. Warto, żebyś ją przejrzał. Proponuję, żebyśmy poszli do twojej komnaty. W mojej jest zimno, nie ma tam kominka.

Nie czekając na jego odpowiedź, odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę schodów. John poszedł za nią, czując się trochę głupio, że tak łomotał do jej drzwi.

- Chcę zadać ci też kilka pytań, Alys, które powinienem był zadać ci już dawno, zaraz po moim przyjeździe.

- Ja też mam do ciebie kilka pytań! - oznajmiła Alys. Pierwsza weszła do komnaty i usiadła na ławie przed kominkiem. Grubą księgę położyła na podnóżku.

- Czy mogę już zacząć? - spytała, unosząc nieco swój uparty podbródek.

John stanął koło niej, niebezpiecznie blisko. Dlatego skrzyżował ramiona. Był to jedyny sposób, żeby utrzymać ręce przy sobie.

- Najpierw chciałbym ci powiedzieć, że żałuję swojego zachowania - zaczął, nie zamierzając wyrażać się kwiecicie. - Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Wybaczam - odparła równie lakonicznie Alys. - A co do tego oskarżenia... to były tylko puste słowa, wypowiedziane w gniewie.

- Rozumiem. Alys, chciałbym ci jeszcze bardzo podziękować...

Nachylił się nad nią i pocałował w usta. Z wielką przyjemnością. Warto dziękować komuś, skoro przy tej sposobności można zachwycić się słodyczą i miękkością czyichś warg. Miały w sobie i słodycz miodu, i wyszukany smak wonnych korzeni z zamorskich krajów...

Kiedy podniósł głowę i cofnął się, Alys nawet nie drgnęła. Siedziała nieruchoma jak rzeźba.

John skłonił głowę.

- Dziękuję, Alys of Camoy, za wszystko, co uczyniłaś dla mnie i moich bliskich. A teraz pytaj mnie, o co chcesz.

Przez dłuższą chwilę nie odzywała się, zapewne dochodząc do siebie po nieoczekiwanym pocałunku. Ale otrząsnęła się, nabrała głęboko powietrza i spojrzała mu prosto w twarz.

- Powiadają, że dwór hiszpański pod względem przepychu i wygód nie ma sobie równego. Dlaczego więc wróciłeś stamtąd taki wynędzniały? Czy cierpiełeś na gorączkę?

- Dopiero, kiedy osłabłem - odparł oględnie. Wcale nie miał ochoty opowiadać jej dokładnie, co się wydarzyło. Alys jednak nalegała.

- Dlaczego osłabłeś? Powiedz!

- Osłabłem z powodu ran. Zadano mi je w chwili pojmania. I... później.

- Później? Czyli nie traktowano cię jak szlachcica, który czeka na wykupienie go z niewoli? Nie przebywałeś na dworze?

John odwrócił się i spojrzał na złociste płomienie, tańczące nad rozżarzonymi polanami.

- Nie. Trzymali mnie w lochach. Trastamara nie chciał, żebym przebywał pod jego dachem. Uważał, że jestem zbyt groźny, poza tym chciał się co nieco ode mnie dowiedzieć...

- Och, Boże! Powiedz, czy to dlatego odmawiał przyjęcia okupu? Zgodził się dopiero w ubiegłym miesiącu.

- Alys! Ja wcale nie zostałem wykupiony. Uciekłem. Simon mi pomógł. I udało mi się wrócić do Anglii.

- Uciekłeś, John?! Nie powiedziałeś mi o tym! I to dlatego ty... Ale ja naprawdę chciałam cię wykupić! Wysłałam rycerzy ze złotem...

Nachylił się i pogłaskał ją po rękę.

- Wierzę ci.

- Ale na początku wcale nie wierzyłeś! Teraz pojmuję, dlaczego. A nasi rycerze wyjechali do Hiszpanii wiele miesięcy temu. Nie powrócili, nie wiemy, co się z nimi stało. Ani ze złotem, które powieźli... Och, John! - Spojrzała na niego z rozpaczą i załamała rękę. - To było prawie całe złoto z naszej szkatuły! Przekonasz się, kiedy zobaczysz księgę. Zebrałam wszystko, co mogłam wyprosić, pożyczyć albo ukraść.

- Ukraść?! Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie, Alys, naruszającej przykazania boskie!

- Ale ja to uczyniłam, John. Przekonasz się, kiedy policzysz monety, które twój ojciec odłożył na przyszłość Waltera. Naturalnie, zwrócę wszystko, jeszcze zanim Walter dorośnie i będzie potrzebował pieniędzy.

Czyli Alys, żeby go ratować, szafowała swoją duszą nieśmiertelną. John, poruszony do głębi, chciał ją objąć, przytulić. Ale poniechał tego. Widział przecież, jak bardzo była speszona jego pocałunkiem.

- Czy Simon był przy tobie, kiedy przebywałeś w niewoli? Służył ci?

- Nie. Ale był w pobliżu. Przybył do Hiszpanii po jakimś czasie, bo przedtem, kiedy Hiszpanie napadli na nas, Simon na mój rozkaz razem z innymi pomagał Lancasterowi w ucieczce. Ja powstrzymywałem ludzi Trastamery.

- Zabiłeś wielu?

John wzruszył ramionami.

- Jeśli nawet, to i tak za mało. Przecież mnie pojмали i zawieźli do Kastylii, jako łup z wyprawy na Lancastera. Myślę też, że zrobili to dla okupu.

- A kiedy cię pojmano... traktowano cię tam źle?

John skrzywił się. Podeszedł bliżej do kominka i wyciągnął ręce ku ciepłu płomieni.

- Było, minęło - mruknął.

- Och, John...

- Daj temu spokój, Alys. Nie chcę, żebyś litowała się nade mną.

- Litowała?! Ani mi w głowie, John! Pomyślałam sobie, że nasze wojska powinny ruszyć na Kastylię i rozprawić się z tym łajdakiem!

John zaśmiał się.

- Myślisz jak księżę. On właśnie chce rozpocząć nową kampanię, a ja mam zamiar wziąć w niej udział.

- Nie, John. Nigdzie nie pojedziesz. Nie pozwolę na to. Nawet gdybym musiała cię uwięzić!

Z tym błyskiem w oczach była po prostu zachwycająca. Kto by się spodziewał, że z rumianego dziewczątka wyrośnie taka krewka kobieta?

- Jestem rycerzem, Alys. Wojna to moje rzemiosło.

Sam nie wiedział, czy powiedział to z przekonaniem, czy po prostu z przyzwyczajenia. Jego życie, od chwili, gdy rozłączono go z rodzicami, składało się z ćwiczeń we władaniu bronią, bitew, picia mocnych trunków, gry w kości i uganiania się za spódnicami. Na początku wcale mu się to nie podobało, z czasem jednak przywykł i nawet zaczął znajdować w tym upodobanie.

Przez wszystkie te lata rzadko kiedy odmawiał modlitwę. Tylko wtedy, gdy wraz z innymi rycerzami modlił się o

zwycięstwo. Nic dziwnego, że Bóg pokarał go rokiem niewoli i nękania. Powinien być Mu wdzięczny, bo dzięki temu zaczął się zastanawiać nad swoim życiem.

I jak to teraz będzie? Czy poślubi Alys i stanie się takim mężem, jakiego potrzebowała? Czy też Alys będzie przeklinała dzień, w którym przysięgała mu przed ołtarzem?

Ślubu nie będzie. Nie wolno mu pojąć Alys za żonę, wyrządziłby tym jej krzywdę. Zwróci jej słowo, a ona będzie dziękowała mu za to do końca swoich dni. A teraz, póki on tu jeszcze jest, przejmie na siebie część jej obowiązków w zarządzaniu włością. I za to trzeba zabrać się od razu.

Wziął do ręki księgę i usiadł na krześle.

- Przejdźmy teraz do spraw ważniejszych...

- Ale ja jeszcze nie skończyłam! - zaprotestowała Alys. - John! Musisz mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo się zmieniłeś! Trudno mi rozpoznać w tobie człowieka, który napisał do mnie pięć lat temu, wyrażając tyle nadziei na naszą wspólną przyszłość!

- Ja? Napisałem do ciebie?! Przecież on nawet o niej nie myślał.

Po twarzy Alys przemknął nieśmiały uśmiech.

- Napisałeś. Ten list to mój największy skarb. A słowa, które w nim napisałeś, na zawsze zamknęły moje serce przed innymi mężczyznami. Ale teraz, kiedy wróciłeś do Hetherston...

Głos Alys zamarł. Potrząsnęła bezradnie głową, a John zapragnął z całego serca, żeby to on był autorem tego listu. Niestety, prawda wyglądała inaczej. I musiał wyznać to Alys.

- To nie ja...

Alys nie słuchała. Usiadła prosto, splotła dłonie i zapatrzyła się przed siebie.

- Ten list jest... taki piękny... - powiedziała cichym, rozmarzonym głosem. - Jesteś rycerzem, John, i to cudowne,

że twoja waleczna dusza nie stroni od poezji. Za każdym razem, kiedy czytam te przepiękne słowa, jestem bliska omdlenia. A ja... - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się wesoło. W policzkach pojawiły się dwa rozkoszne dołeczki. - A ja nie jestem przecież skłonna do omdleń.

John chrząknął i poruszył się niespokojnie.

- Alys, ja nie napisałem tego listu. Może uczyniła to moja matka...

Jego głos zamierał, kiedy patrzył na mieniącą się twarz Alys. Niedowierzanie, zakłopotanie, a na końcu - ból. Patrzył bezradnie, jak Alys podrywa się z krzesła i znika w drzwiach.

Czy poszła po ten nieszczęsny list? Czy też po prostu chciała uciec przed świadomością, że została oszukana?

Czuł się jak ostatni łajdak. Zniszczył jej piękne marzenia, ale, niestety, fakt jest faktem. Przez wszystkie te lata prawie nie pamiętał, że jest zaręczony. Jakże więc mógł chwycić za pióro i nakreślić słowa o dozgonnej miłości? On tego nie zrobił, ale zapewne uczyniła to matka. Tylko ona zdolna była do takiego kroku. Tylko jej zależało, żeby uspokoić dojrzałą już do zamążpójścia szesnastolatkę, zamartwiającą się, że przyrzeczony jej rycerz zapomniał o niej.

Tym razem same przeprosiny nie wystarczą. Nie usłyszy żadnego „wybaczam ci”. Ale dobrze, że prawda wyszła na jaw. Alys uleczyła się ze swoich iluzji. On ich nigdy nie miał. Dlaczego więc czuje teraz w sercu taki ból?

Alys weszła do swej komnaty i od razu położyła się na łóżku. Czuła się upokorzona, a przede wszystkim nieskończenie głupia i naiwna. Lady Greycourt oszukała ją nie tylko tym listem, zapewne także wymyśliła te wszystkie barwne opowieści o dorastaniu swojego syna. Przecież John, kiedy opuścił Hetherston, miał zaledwie siedem lat! Owszem, był tu, gdy pasowano go na rycerza, wtedy też odbyły się jego zrękowiny z Alys. Ale potem zjeżdżał do domu bardzo

rzadko, a przez ostatnie sześć lat ani razu nie odwiedził rodziców. Wszyscy go jednak usprawiedliwiali, bo wiedzieli, że John nie może przyjechać, ponieważ Lancaster nie lubi rozstawać się ze swoimi rycerzami i bardzo niechętnie udziela im pozwolenia na wyjazd do domu.

Alys bezkrytycznie chłonęła te wszystkie opowieści o nadzwyczajnym męstwie i rycerskości młodego Johna, nie podejrzewając, że są wysane z palca. Motywy postępowania lady Fiony Greycourt nietrudno było odgadnąć, a także zrozumieć. Pragnęła z całego serca, żeby Alys darzyła jej syna miłością i pozostała mu wierna. Jednak wizerunek przybranej matki bardzo na tym ucierpiał. Lady Fiona nie była osobą, którą można było darzyć bezgranicznym zaufaniem, a za taką przecież ją uważała. Wierzyła też, że John jest tak samo nieskazitelny. A okazało się, że wcale ich nie znała, ani matki, ani syna.

Być może pewnego dnia przebaczy Fionie, przecież jej kłamstwa podyktowało matczyne serce. Jednocześnie uzmysłowiła sobie, że miłość do Johna, którą obudzono w jej sercu, może opierać się na bardzo kruchych podstawach. John, być może, wcale nie jest wzorem wszelkich cnót, a taki przecież wizerunek wpajano jej przez całe lata. Może być zwykłym łajdakiem, zdrajcą i oszustem. Och, nie! To niemożliwe. Przyznał się przecież, że nie jest autorem tego listu. Inny by przemilczał. A John - nie. Powiedział prawdę, choć mógł skłamać.

Kto wie, czy w głębi serca nie wolałaby, żeby John tę prawdę zachował dla siebie...

Naciągnęła na głowę kołdrę, zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy. Och, miała teraz tylko jedno życzenie! Zniknąć. Jak mgła w porannym słońcu. Bo i jakże ona teraz, po tym wszystkim, co się stało, spojrzy Johnowi w twarz?

Weźmie go za męża, oczywiście, jeśli on nadal będzie tego chciał? Nie, nie potrafiła sobie tego wyobrazić...

Czy kiedykolwiek wybaczy sobie, że pozwoliła tak się oszukać? Zawsze uważała siebie za osobę śmiało dążącą do celu. A teraz... teraz skrzydła jej opadły. Dobre mniemanie o sobie wydało jej się całkiem nieuzasadnione, takie żalosne, a ludzie dookoła tacy... niegodni zaufania. Czy ona w ogóle będzie w stanie komukolwiek zaufać?

Pomyślała też gorzko, że te wszystkie jej wątpliwości, zrodzone przez smutne doświadczenie, oznaczają, że właśnie przekroczyła próg dorosłości. Trochę późno, skoro zaczęła już dwudziestą pierwszą wiosnę. Ale stało się. Alys na pewno nie jest już dzieckiem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez następne dni Alys postanowiła zachowywać się tak, jakby ów nieszczęsny list w ogóle nie istniał. W stosunku do Johna zachowywała się powściągliwie, ale też i bardzo uprzejmie, jak wobec każdego obcego człowieka, przybywającego do Hetherston. W końcu John był dla niej takim właśnie obcym człowiekiem. John natomiast, ku jej zaskoczeniu, zaczął obsypywać ją podarkami. Niestety, z żadnego nie miała pożytku. Najpierw przysłał przez Simona pięknie rzeźbione puzderko z igłami, stalowymi i z kości, a przecież doskonale wiedział, że ona nie cierpi szycia. Następnego dnia dostała złotą broszę wysadzaną szmaragdami. Brosza z ornamentem przypomniła Alys o matce Johna, bo podobną nosiła kiedyś lady Fiona, a Alys teraz wcale nie miała ochoty przywoływać w pamięci tę właśnie kobietę.

A wczoraj, podczas wieczerzy, położył przed nią na stole mały modlitewnik oprawiony w miękką skórę. Jakby ona nie miała swojego modlitewnika!

- Proszę, przeczytaj, co napisane jest na pierwszej stronie - poprosił.

Przeczytała dedykację: „Możesz mieć miłość, jeśli tylko poprosisz...”. Podpisu, naturalnie, nie było. A słów tych na pewno nie nakreśliła ręka Johna, a poza tym takiego inkaustu nie było w Hetherston. Jakież ten John jest głupi! Sądził, że ona się nie domyśli, skąd ten modlitewnik! Dostał go na pewno w Londynie, na dworze królewskim, od jakiejś damy, która nie chciała ujawnić swego imienia.

Było oczywiste, że John wyszukuje te podarki wśród swoich rzeczy i rzeczy po matce. Wiedziała przecież, że John po powrocie z niewoli nie miał siły, żeby odwiedzać londyńskich kupców. A ze szkatuły w Hetherston nie wziął ani jednej monety.

Czuła, że jej serce nieco zmiękło. Ale wcale nie stopniało jak wosk, o nie!

I po co on to wszystko robi?

- Alys... - syknęła Thomasine. - Twój luby nadchodzi!

Tak było w istocie.

- Witaj, Alys! - pozdrowił ją, uśmiechając się miło. A ona próbowała nie zauważyć, że lekko przytył, co wpłynęło niezwykle korzystnie na jego powierzchowność. Znikła też ziemista cera i cienie pod oczami. Jakież John będzie piękny, kiedy w pełni dojdzie do sił!

- Nie masz ochoty na wspólną przejażdżkę, Alys? Chciałbym zobaczyć wioskę. Mam nadzieję, że nie pogardzisz moim towarzystwem!

Wzruszyła nieznacznie ramionami. Naturalnie, że nie pogardzi, bo nie ma sensu toczyć wojny i nawet jeśli nie ma nadziei na cudowny związek, który obiecywała jego obłudna matka, powinni zawrzeć ze sobą pokój. Tym bardziej że ciągle nie wiadomo, czy do ślubu dojdzie, czy też nie. A jeśli nie dojdzie, to i tak powinni zostać przyjaciółmi. W przeciwnym bowiem wypadku Alys utraci Waltera.

- Bardzo chętnie pojedę z tobą, John. Wziął ją za rękę i poprowadził przez salę zamkową.

- Cieszę się, że jedziesz ze mną, Alys!

- Bo i powinnam! Twoje prawo jeździć po swojej ziemi, a moim obowiązkiem jest pokazać ci, co udało się ulepszyć.

John zaśmiał się i przystanął.

- Pokażesz, co zechcesz, Alys. Ale ja nie myślałem o obowiązkach. Słyszałem, że przepadasz za jazdą wierzchem. Chciałbym, żebyś miała parę godzin przyjemności.

- Rozumiem, że ma być to jeszcze jeden z twoich podarków!

- Może i tak!

Spojrzała w jego roześmiane oczy i nagle wróciło wspomnienie ich krótkiego pocałunku w jego komnacie. Nie po raz pierwszy zresztą. Wracało często, w najbardziej nieoczekiwanych momentach. A teraz John patrzył na nią tak, jakby znów miał ochotę ją pocałować. A ona... czekała.

Nagle John odwrócił wzrok.

- A więc chodźmy.

- Chodźmy!

Ruszyli w dół, po schodach. John nie puszczał jej ręki. Ich palce były splecione, a ona od tego splecenia czuła dziwne mrowienie w całej ręce, aż do ramienia.

- Moje podarki nie przypadły ci do gustu, Alys? - pytał smętnie John, kiedy dochodzili do stajni. - Ja po prostu chciałbym wyrazić swoją wdzięczność za to, że doglądałaś Hetherston. Opiekowałaś się moimi rodzicami i odchowalaś Waltera. Ale niestety moje dobra doczesne w tym momencie są bardzo skąpe... Przykro mi, że żywisz do mnie taką niechęć...

- Ależ tak wcale nie jest, John!

- Chyba jednak tak. I jest to w pełni uzasadnione. Powinienem był napisać do ciebie, i to nie raz. Ale matka wtrącała się niepotrzebnie. Ona...

Ze stajni wyszedł pacholek, prowadząc dwa konie.

- Konie osiodłane, milordzie. Alys spojrzała na konie uważnie.

- Michaelu! Dlaczego osiodłałeś dla mnie kasztankę? Gdzie mój wałach?

- Na pastwisku, milady. Lord John kazał osiodłać Minx.

- Jest teraz twoja - powiedział John z uśmiechem. - Twój wałach się postarzał, należy mu się odpoczynek. A tobie przyda się nowy koń.

- Dziękuję, John! Piękna klacz. Skąd ona tu się wzięła?

- Podarek od króla z okazji mojego powrotu do Londynu. Miałem wtedy tylko starego Tramplerę. Simon dosiadał go, kiedy pomagał Lancasterowi w ucieczce. Mojego konia, tak samo jak zbroję i miecz, odebrali mi Hiszpanie.

Alys pogłaskała klacz po grzywie. Zdawała sobie sprawę, jak wielką stratę poniósł John. Zbroja, miecz i koń - dla rycerza nie ma nic ważniejszego.

John chwycił ją wpół i posadził w siodle.

- To dobra klacz, Alys. Ma bardzo miękki chód, jedzie się na niej, jakby człowiek siedział na piernacie. Gdyby było inaczej, nie dałbym rady dojechać tu z Londynu.

Alys skinęła tylko głową, z wrażenia niezdolna teraz cokolwiek powiedzieć. Tym razem John podarował jej coś wspaniałego. Chociaż zdawała sobie sprawę, że dla niego ten gest znaczył o wiele mniej niż dla niej. Rycerze traktują swoje konie prawie tak, jak oręż, nie mogą pozwolić sobie na żadne sentymenty. Tyle przecież koni ginie podczas bitew.

John dosiadł krzepkiego wałacha, na którym do Hetherston przyjechał jego giermek.

- Nie masz innego konia, John?

- Tylko Tramplerę. Ale ta bestia nie nadaje się na przejażdżkę.

Czyli John oddał jej swojego jedynego konia, który nadawał się do jazdy po okolicy. Dlaczego? I po co on daje jej te wszystkie podarki? Czy tylko z wdzięczności, czy też próbuje rozpaczliwie zdobyć jej przychylność?

Cmoknęła. Koń krótkim galopem ruszył do bramy. Kiedy John zrównał się z nią, zagadnęła:

- John? Chciałabym ci powiedzieć, że nie musisz dawać mi podarków. Ja wcale nie czuję do ciebie niechęci, przysięgam. I nigdy tak nie będzie.

- Nawet jeśli nie pojmę cię za żonę?

- Nawet wtedy.

Ścisnęła mocniej łydkami boki klaczy. Koń przyśpieszył. Nie, nie chciała teraz rozmawiać z Johnem. Bo i dlaczego on się tak opiera temu małżeństwu? Czyżby uważał ją za osobę odrażającą? A może... kochał inną?

Wzięła głęboki oddech, który miał dać jej pewność siebie i opancerzyć serce. Nie, nie będzie Johna o nic pytać. Bo niezależnie od tego, jaka byłaby jego odpowiedź, ona i tak poruszy niebo i ziemię, żeby zostać jego żoną. Ona po prostu nie może opuścić tego zamku, który traktuje jak swój dom, nie może opuścić chłopca, który dla niej jest jak własne dziecko. Ani tego mężczyzny. Bo on jej potrzebuje, choć nie zdaje sobie z tego sprawy.

Tego dnia był wobec niej uprzedzająco grzeczny, prawił komplementy, a kiedy szli przez wioskę, John, witając się ze swoimi dzierżawcami, cały czas trzymał Alys w pół. To wszystko razem wprawiało ją w wielkie zakłopotanie.

Po powrocie do zamku, kiedy pacholek znikł już z końmi w stajni, John chwycił Alys za rękę i pociągnął za sobą w cień zamkowego muru.

- Teraz zajmuję, ile tu jest roboty ze wszystkim. Ale ty, Alys, nie musisz się już czymkolwiek kłopotać.

Czyżby czuł się urażony, że po śmierci jego rodziców Alys przejęła rządy w Hetherston?

- Wiesz dobrze, John, że nie było nikogo innego, kto mógłby to robić.

- Wiem. Ale teraz już jest.

Objął dłońmi jej twarz, spojrzał w oczy i złożył na jej ustach pocałunek. Bardzo delikatny. Jego wargi były chłodne i twarde, bez śladu namiętności, ale jej serce i tak zabiło mocno, uderzało głucho jak końskie kopyta o zwodzony most nad fosą.

Och, nie! Na tych delikatnych pocałunkach nie może się skończyć! John musi jej zapragnąć, całego jej ciała, bo inaczej wszystko będzie stracone!

Objęła go mocno w pól i z całej siły przyciągnęła do siebie. Przywarła do niego jak bluszcz do muru. I teraz to ona pocałowała go, najżarliwiej jak umiała. Wdychała jego oddech, pieściła jego usta wargami i językiem. Krew kipiała jej w żyłach, pod powiekami widziała gwiazdy...

Z gardła Johna wydobył się cichy jęk. Ból czy rozkosz? Nie dbała o to. Całowała jeszcze bardziej namiętnie, jeszcze zuchwalej. Żeby poczuł to, co ona czuje i... odwzajemnił. On musi to zrobić!

John poderwał głowę i chwycił ją za rękę.

- Alys... Chodź...

Jej ciało płonęło. A jego? Czyżby John niczego nie czuł? Och, Boże! I co ona ma teraz zrobić?

Kiedy dochodzili do zamku, John nagle zatrzymał się i złapał ją za rękę.

- Alys, posłuchaj... Skonsumowanie związku jest wiążące... zarówno przed ceremonią zaślubin, jak i po. Jeśli zrobimy to teraz, jeszcze przed złożeniem przysięgi małżeńskiej, i tak nie będzie odwrotu. Tak nakazuje męski honor...

Wyrwała swoją rękę.

- A poza tym, Alys...

Spojrzała w bok, starając się za wszelką cenę zapanować nad swoim wzburzeniem. Ale nie była w stanie wypowiedzieć żadnego słowa.

John milczał jeszcze przez chwilę, pocierając dłonią kark. Nagle rzucił, krótko i zdecydowanie, jak rozkaz:

- Alys! Idziemy!

Poprowadził ją przez salę zamkową, przez długie zamkowe korytarze do swojej komnaty. Weszli do środka. John zaryglował drzwi i ponownie rzucił rozkaz:

- Siadaj.

Alys przysiadła na brzegu krzesła. A John, ku jej zaskoczeniu, zaczął zdejmować jopulę. Zdjął także płócienną koszulę i jej oczom ukazał się nagi tors.

Była zachwycona i dziwnie zatrwożona zarazem. Ale nie byłaby Alys of Camoy, gdyby nie nadrabiała teraz miną.

- Sądzisz, że mnie zadziwisz, milordzie? - spytała z drwiącym uśmieszkiem. - Widziałam już obnażonych mężczyzn, choć przyznaję, nie tak pięknych jak ty. Dlatego, jeśli masz zamiar dalej się obnażać, bardzo proszę. Czyń to.

- Zamilcz!

Oparł ręce na biodrach i wpił w nią wzrok.

- Posłuchaj, Alys! Bo my koniecznie musimy coś sobie wyjaśnić. Ty z całą ufnością chcesz swój los złożyć w moje ręce. Ręce człowieka, którego, jak sądzisz, znasz doskonale. A tak nie jest, Alys. Mam mnóstwo wad...

- Wad? - Alys uśmiechnęła się. - Nie przekonasz mnie o swoich wadach, John, pokazując mi swoje piękne ciało!

Nie powiedział już ani słowa. Tylko odwrócił się do niej plecami.

Krzyknęła. Zerwała się z krzesła, wyciągnęła ręce, jej palce zatrzymały się tuż przed straszliwymi bliznami.

- Chryste!

John znów obrócił się ku niej twarzą.

- Teraz widzisz, Alys, że najpierw każdą rzecz trzeba obejrzeć dokładnie, dopiero potem wyrabiać sobie mniemanie o niej.

- Ale co... co ty masz na myśli?

- A to, że tak samo jak na ciele, mam skazy na duszy, których ty nie dostrzegasz. Mnóstwo wad. W niczym nie

przypominam idealnego rycerza w lśniącej zbroi, którego moja matka wbiła ci do głowy. Chcę, żebyś zobaczyła we mnie człowieka, jakim jestem naprawdę.

- Och, John! Przecież widzę! - Wspięła się na palce, musnęła ustami jego wargi. - Widzę i czuję, John - szepnęła. - Czuję słodycz twojego oddechu, twojego głosu, widzę pragnienie w twoich oczach... Widzę sercem, John...

- Alys... ich usta złączyły się w gorącym pocałunku, który im obojgu odebrał oddech i myśli. Do świadomości Alys dotarł jeszcze tylko fakt, że John wziął ją na ręce i zaniósł do łóża. Ułożył się obok niej, jego ręce błądziły po jej ciele, pieszcząc coraz śmieiej.

Zaczęła szarpać jego ubranie i swoje. John uporał się z tym błyskawicznie. Dwa nagie ciała przywarły do siebie, dwie pary rąk rozpoczęły swoją wędrówkę. Palce Alys delikatnie przesuwały się po wspaniale rzeźbionych mięśniach, pęczniejących pod gładką skórą, usta rozkoszowały się pocałunkami. A głód jej ciała wzmagął się, głód, którego nie można zaspokoić pocałunkami.

Była szczęśliwa. John pragnął jej. Brał ją. Czynił ją swoją. Na zawsze.

Kiedy ciała przestały drzeć z największej rozkoszy, John opadł na Alys. Uśmiechnęła się, wtulając twarz w jego ramię i pomyślała, że na pewno osłabł, tak jak ona.

- Ja... ja nie przypuszczałam, że tak się stanie... Ale niczego nie żałuję...

John westchnął.

- A możesz jeszcze tego żałować.

Objęła go mocno. Pod palcami wyczuwała straszliwe bruzdy na jego plecach, budzące w niej gniew. John ma rację, że pragnie odwetu! Gdyby było to możliwe, ona sama ruszyłaby do Hiszpanii i zadała śmierć tym wszystkim, którzy przysporzyli Johnowi tyle cierpienia.

- Nie, John. Niczego nie będę żałowała. Wiem, że musisz ruszać na wojnę. Będę nieszczęśliwa, kiedy zostanę tu sama. Ale szczęśliwa, że miałam ciebie.

John oderwał się od niej. Ułożył się na plecach, jedna z jego dłoni leniwie przesunęła się po ciele Alys.

- Jesteś niepoprawna! Wszystko, co powiem lub zrobię, zyskuje twoją aprobatę. Jesteś naiwna jak dziecko...

- Mylisz się, milordzie! Jestem osobą dojrzałą i roztrofną. A widzę cię takim, jaki jesteś naprawdę. Wad masz co najmniej tuzin. Na przykład... jesteś odludkiem, często bywasz nieobecny duchem, siedzisz zatopiony we własnych myślach.

Zerknęła na niego, żeby z wyrazu twarzy zorientować się, czy właśnie o tym chciał od niej usłyszeć.

Skinął głową, niby z powagą, ale kąciki jego ust drgnęły.

- Tak... A poza tym... nie potrafisz zachować się przy stole. Nie dbasz o damy, z jedną nawet miałeś głośną sprzeczkę. Ale ja to rozumiem. Rycerze nieczęsto mają sposobność biesiadowania w sali zamkowej...

- Nie usprawiedliwiał mnie, Alys, tylko wyliczaj dalej.

- Dobrze.

Skłoniła zalotnie głowę na bok i pomyślała chwilę.

- Wiem! Nienawidzisz liczb!

John zmarszczył czoło, wyjaśniła więc:

- Księga rachunkowa! Wcale jej nie przejrzałeś!

John wzruszył ramionami.

- I pisać też nie lubisz! Przede wszystkim listów! - wygłosiła oskarżycielskim tonem i nagle sposepniała. - John, a czy ty w ogóle umiesz pisać?

John skinął głową. Ale minę miał nieco niewyraźną.

- I jeszcze jedno - wygłosiła Alys. - Nie traktujesz dobrze służby. Nie widziałam jeszcze, żebyś komuś za coś podziękował.

- Nieprawda! - zaprotestował, unosząc się na łokciu. - Zamierzam wystąpić do króla o pasowanie Simona na rycerza!

- Ale mnie chodzi o innych. Traktujesz ich z wysoka, a ci ludzie ciężko dla nas pracują.

- Wiem... Coś jeszcze?

- Tak. Chodzi o Waltera. Powinieneś poświęcać mu więcej uwagi. On tak bardzo cię kocha, pokochał cię z tych samych powodów, co ja. Tylko proszę, John, Walter nie powinien wiedzieć o twoich wadach. Jeśli chcesz sam przysposobić go do stanu rycerskiego, nie wolno go rozczarować. On potrzebuje bohatera.

Po twarzy Johna przemknął cień.

- A jak jest teraz, Alys? Nie kochasz już mnie?

Alys zaśmiała się.

- Kochałam cię i nadal będę kochała! Najpierw kochałam piękne marzenie, tę miłość podsycali twoi rodzice. Wiem, że wszystko, co mówili, dyktowało im serce. Zrobili to z miłości, John. Uwielbiali cię, dlatego wzbudzili w moim sercu najgorętsze uczucie... Dlatego też tak często do Hetherston spraszano minstrela, żeby sławili w swoich pieśniach twoje bohaterskie czyny. Twoi rodzice pragnęli gorąco, żebyś powrócił tu i wiódł spokojne, szczęśliwe życie. Ludzie z Hetherston nie mogą się doczekać, kiedy zaczniesz nimi rządzić jako ich lord. A ja... ja czekam, kiedy pojmiesz mnie za żonę.

Wzięła go za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Twoi rodzice, John, bardzo cię kochali...

- A ja myślę, Alys, że zrobili to też po to, abyś ty była szczęśliwa. Kochali cię, a ja, kiedy poznałem cię bliżej, wcale im się nie dziwię. Kogoś takiego jak ty łatwo pokochać. Ciekaw jestem, ile to listów moja matka napisała do mnie, sławiąc w nich ciebie. Niestety, żaden z nich do mnie nie

dotarł. Albo może i nie pisała, liczyła tylko na to, że kiedy tu wrócę, zachłysnę się twoją urodą.

Alys roześmiała się i pogłaskała jego nagą pierś.

- I tak się stało! Nie mam zamiaru udawać skromniszę. Od pierwszej chwili, kiedy tu przyjechałeś, wypatrywałeś za mną oczy. Tylko nie zaprzeczaj, John!

- Nie zaprzeczam! Moja głupia duma nie pozwalała mi tego okazać, poza tym byłem śmiertelnie zmęczony długą drogą. Ale w końcu dopięłaś swego!

Alys szturchnęła go, niby żartobliwie, i odwróciła się. Nie chciała, żeby dojrzał urazę w jej oczach. Jak John powiedział? Ona dopięła swego? Czyli co? Przymusiła go? W takim razie - gdzież podziła się jej duma? I serce? Bo jeśli kocha go naprawdę, jak może przymuszać go do dotrzymania obietnicy sprzed lat, która nie miała dla niego żadnego znaczenia? Zaśmiała się gorzko.

- Bóg mi świadkiem, John, że to, co uczyniłam... teraz, nie uczyniłam po to, by za wszelką cenę pozostać w Hetherston i być twoją żoną.

- Ale nie żałujesz, Alys?

- Nie, nie żałuję - szepnęła. - Chociaż nie powinnam była tego robić. Teraz to widzę.

Bo teraz uzmysławiała sobie, jak ogromne znaczenie ma to, co uczyniła.

- Alys...

Poczuła na ramionach gorące wargi, a ciepłe ramię wokół swej kibici. Nie poruszyła się. Milczała, zbierając w sobie siły. A potem zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła teraz uczynić.

Boże! Ty jeden będziesz wiedział, ile kosztuje mnie to kłamstwo!

- Zwracam ci słowo, John. Nie musisz brać mnie za żonę. Proszę tylko, żebym mogła odchować Waltera. Będę szczęśliwa, jeśli mi na to zezwolisz.

Szybko wstała z łoża i odwróciła się do Johna plecami. Łzy spływały jej po policzkach strumieniem. Nie mogła znieść myśli, że będzie musiała opuścić Hetherston i powrócić do swoich włości na południu. Rozłąka z małym Walterem złamie jej serce. Rozłąka z Johnem zniszczy ją.

Nieważne, co on myślał, co uczyniła jego matka, nieważne, że rozwiął jej dziewczęce marzenia. Alys kochała go całym sercem, kochała żywego człowieka, a nie ideał, który przez całe lata miała przed oczami. John ugiął się przed jej miłością, wziął ją, świadomy, że tym przypieczętował swój los. Ale ona wiedziała już, że z czasem John zacznie jej nienawidzić za to, że zmusiła go, aby wziął ją za żonę.

- Alys...

Nagle poczuła, że John stoi za nią. Objął ją, tuż przy uchu usłyszała cichy, wzruszony głos:

- Chcę tego, Alys. Chcę, żebyś została moją żoną. Bo umościłaś się już w moim sercu, nie dziś, a o wiele wcześniej. I nigdy cię stamtąd nie wypuszczę. Kocham cię, Alys. Pokochałem dla twojej urody, urody twojej duszy, dla twojej lojalności i wierności.

- Ko... kochasz mnie? - wykrztusiła, czując, że braknie jej tchu. Powody jego miłości nie wydawały jej się takie istotne. Najważniejsze - że kochał. O ile mówił to szczerze! Bo może kłamał, żeby zachować twarz. Chciał, aby wyglądało to tak, jakby on sam dokonał wyboru, a nie jego rodzice...

- Naprawdę cię kocham, Alys - powiedział, jakby wyczuwając jej wątpliwości. - Jestem zadowolony, że miłość moja nie narodziła się po przeczytaniu nadzwyczajnych pochwał na twój temat w liście od matki. Ta miłość sama narodziła się w moim sercu. Alys! Gdybym nie był już z tobą zaręczony, padłbym teraz na kolana i błagał o twoją rękę!

- Ja... ja jakoś tego nie mogę sobie wyobrazić...

Jednym gwałtownym ruchem odwrócił ją twarzą ku sobie. Chwycił za ręce, przykląkł na jedno kolano i skłonił głowę.

- Błagam cię, Alys of Camoy, uczyn mi ten zaszczyt i zostań moją żoną.

Podniósł głowę i uśmiechnął się. A Alys spojrzała mu głęboko w oczy, szukając w nich potwierdzenia, że uczucia jego są szczerze i prawdziwe.

- Nie. Nie mogę... - szepnęła, żeby się przekonać, czy on zaprotestuje.

- Ależ tak. Możesz - powiedział rozkazującym tonem. Wstał z kolan i ucałował jej dłoń. - Zajmij się przygotowaniem do ślubu, Alys. Zaraz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W dzień ślubu od rana świeciło słońce. John miał nadzieję, że wróży to słoneczną przyszłość, wspólną przyszłość z Alys of Camoy, którą dziś pojmie za żonę. Zostanie jej mężem nie dlatego, że poszli razem do łoża, nie dlatego też, że wiele lat temu z woli rodziców dał jej słowo. Stanie się tak, bo Alys weszła do jego serca szybciej i głębiej niż najbardziej ostry sztylet. Pokochał tę dziewczynę. Nie, już nie dziewczynę, a kobietę. Piękną, radosną, pełną życia i wytrwałą. Kochał ją, ale jego radość zmacona była osobliwym przeczuciem, że nad ich głowami zbierają się ciemne chmury i nie dopuszczą, by John i Alys byli szczęśliwi.

Alys nie przyszła już więcej do jego łoża, nie czyniła też najmniejszej aluzji na temat tego, co w tym łożu już się zdarzyło. Całym sercem zajęła się przygotowaniami do ślubu, a surowe spojrzenia, jakich nie szczędziła Johnowi, dawały mu dobitnie do zrozumienia, że ma jej teraz nie tykać. Zapewne trapiło ją poczucie winy, że nie zczekali z tym do ślubu. Trapiło teraz... Czy on kiedykolwiek zdoła ją zrozumieć?!

A on tęsknił za jej bliskością, pragnął porwać ją w objęcia, przytulić, poczuć na skórze słodką pieśczętę jej palców. On tęsknił, a ona go unikała. Może stał się jej obojętny, teraz, kiedy wiadomo, że i tak będzie jej mężem? Może zależało jej tylko na zamążpójściu? Nie, to niemożliwe. Kochała go, skoro obdarzyła taką namiętnością...

Simon pomógł mu nałożyć ciemnozieloną, oblamowaną złotem jopulę z herbem Greycourtów, wyhaftowanym na piersi. Nogi Johna obciskały ciemne nogawice, pod kolanami miał złociste podwiązki.

- Wyglądasz, milordzie, jak dworzanin - zauważył giermek, sam ustrojony w nowy, jasnoszary płaszcz. - Sądzisz, że twoja dama ma skrzynie pełne bogatych szat?

- Zdziwiłbym się. Ona nienawidzi igły. Simon zaśmiał się.

- Założę się, że teraz ich zapragnie! Starannie wygładził srebrne ogniwa ciężkiego łańcucha, zdobiącego szeroką pierś lorda. Gotowe. John spojrział jeszcze raz po sobie, potem na wiernego giermka i tak jak przed turniejem czy bitwą, rzucił rozkaz:

- Ruszamy, Sim!

- Po zwycięstwo, panie!

Z sali zamkowej dobiegał szmer rozmów zgromadzonych gości. Ceremonia miała odbyć się na schodach wiodących do drzwi wejściowych do zamku, aby każdy mieszkaniec Hetherston mógł być świadkiem zaślubin lorda. Potem John i Alys oraz najznamienitsi goście udadzą się do kaplicy na mszę. Po mszy wszyscy zasiądą do stołu. Miejsca nie zbraknie dla nikogo. Stoły ustawiono i w sali zamkowej, i na dziedzińcu. Uczta, wzbogacona o rozrywki, polowanie i rozmaite gry, trwać będzie do nocy. Będzie to noc poślubna, po której, zgodnie z obyczajem, powinno się pokazać wszystkim dowód, że panna młoda była niewinna. A z tym, niestety, będzie kłopot. John martwił się, i jednocześnie zastanawiał, czy Alys też zaprzęta sobie tym głowę...

Simon otworzył szeroko drzwi. Pan zamku Hetherston przekroczył próg, witany gromkimi okrzykami. Uniósł rękę i uśmiechnął się do tłumnie zgromadzonych wieśniaków i służących. Uśmiechnął się serdecznie, jako że uwagę Alys wziął sobie do serca. A dziś po raz pierwszy poczuł się prawdziwym lordem.

Walter, ustrojony w jopulę również ciemnozieloną, szturchnął Johna w nogę.

- John... Ona teraz naprawdę będzie twoja... Pojmujesz?

Miał to być cichy szept, przeznaczony tylko dla uszu Johna. Niestety, nie udało się. Kilka osób zaśmiało się, wielu

uśmiechnęło i skwapliwie pokiwało głowami. A John chwycił malca za ramię i potrząsnął nim żartobliwie. W ciągu minionego tygodnia bracia stali się prawdziwymi przyjaciółmi.

Nagle usłyszał gremialne „Oooch...”. Zgromadzony tłum wydał z siebie długie, pełne zachwyty westchnienie, które przebiegło przez tłum.

Zobaczył ją, szła ku niemu. Boże wielki, jakże piękna! W sukni jasnozielonej, długie, bursztynowe loki powiewały ponad kibicią. Głowę zdobił wieniec z białego wrzosu. Wyglądała jak istota nie z tego świata. Jakby anioł zstąpił na ziemię...

Wyciągnął do oblubienicy rękę i wtedy zauważył, że trzyma ona osobliwy bukiet - z purpurowych ostów. Kłujące łodyżki owinięte były w gruby jedwab. Takich kwiatów raczej nie wybiera się na bukiet dla panny młodej. Czyżby miało to być ostrzeżenie dla niego? Strzeż się, milordzie, bo nie bierzesz sobie za żonę łagodnej gołąbki! Uśmiechnął się. Purpurowe osty, choć kłujące, były śliczne, jak Alys. A że kłuły? Jego Alys nie była delikatną różą, lecz odważną i zaradną istotą. Twardą, nie nawykłą do rozpieszczania. Jak te dzikie kwiaty Szkocji.

- Ten bukiet to na cześć twojej matki, Szkotki, która jest tutaj z nami, obecna duchem - wyjaśniła Alys ze słodkim uśmiechem.

Tak było. John czuł prawie namacalnie objęcia matki, serdecznie przygarniającej ich oboje do swego serca. Matki, która pragnąc zapewnić ukochanemu synowi szczęście, nie wahała się dokonać czynów osobliwych. A on wątpił w miłość rodziców! Jakże mógł! Na krótką chwilę wzniósł oczy ku niebu i poprosił ich w duchu o wybaczenie.

Alys podeszła bliżej i zajęła miejsce u jego boku. Plecy wyprostowane, głowa uniesiona dumnie, ale usta drżały z

przejęcia. Usta, które potrafią rzucić ostre słowo, ale potrafią być też tak miękkie i uległe... Ale o tym powinien teraz zapomnieć, żeby powściągnąć namiętność, gdy po ceremonii składać będzie pocałunek na ustach żony.

Ojciec Stefan ustawił się przed nimi i rozpoczął ceremonię.

- Umiłowani w Chrystusie Panu! Zebraliśmy się tutaj, aby...

Jego monotonny głos prawie nie docierał do uszu Johna, choć ksiądz wypowiadał teraz słowa najwyższej wagi, słowa, które na oczach licznie zebranych świadków łączyły Johna i Alys nierozzerwalnym węzłem. Oprzytomniał, kiedy Simon, szturchnąwszy go dyskretnie, podał obrączkę. John wsunął ją Alys na wskazujący palec, tylko do połowy, potem przełożył ją na palec środkowy, a w końcu trafił tam, gdzie trzeba. Wsunął obrączkę na palec serdeczny i Alys zacisnęła dłoń w pięść. Ta obrączka ma pozostać tam na zawsze.

Alys pierwsza złożyła swój podpis na białym pergaminie, ułożonym na Biblii. Potem John odebrał od niej gęsie pióro i obok jej imienia napisał swoje.

Ceremonia dobiegła końca. Alys złożyła swoją dłoń w dłoni Johna i oboje podążyli za ojcem Stefanem do kaplicy, aby wysłuchać mszy. Dłoń Alys była zimna, palce drżały, a kiedy klękali przed ołtarzem, John dojrzał na poblądłej twarzy kropelki potu.

Czyżby niedomagała? I to właśnie jest nieszczęście, które przeczuwał? Och, nie, Alys zapewne jest tylko znużona przygotowaniami do ślubu. Bóg jeden wie, ile miała z tym zachodu! John chciał jej pomóc, ale ona nie pozwalała. I teraz na pewno goni resztką sił.

- Wytrzymaj... - szepnął. - Zaraz to się skończy.

Spojrzała na niego tak, jakby oszalał.

- Chyba żartujesz... - syknęła.

Ksiądz spojrział na nich z przyganą, ale głos jego, śpiewający łacińską pieśń kościelną, nawet nie zadrżał.

- Amen!

Wreszcie mogli wstać. John pierwszy podniósł się z kolan, pomógł wstać Alys i odwrócił ją twarzą ku sobie. Uniosła twarz, przymknęła oczy. Czekwała na pocałunek. Pocałunek na znak pokoju.

Objął dłońmi jej twarz, palce wsunął w jedwab loków. Usta przywarły do ust. Alys westchnęła cichutko, ale głęboko, usta natychmiast rozchyliły się na powitanie jego ust. I w tym momencie wszelkie złe przeczucia wydały się Johnowi śmieszne.

Nic złego zdarzyć się nie może. Poczuł ulgę, a jednocześnie płomień namiętności ogarniał jego ciało. I wbrew wcześniejszym postanowieniom o zachowaniu stosownej powściągliwości, objął żonę i stopił się z nią w gorącym pocałunku. Przerwał dopiero wtedy, gdy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, niewątpliwie księdza. Osoba duchowna przywoływała go do porządku, ale osoby świeckie, zgromadzone w kaplicy, wcale nie były zgorszona. Patrzyły z aprobatą. Przecież byli już mężem i żoną, Bóg złączył ich na zawsze, na dobre i na złe. Pozostawało jeszcze skonsumowanie małżeństwa, ale sądząc po gorącym pocałunku, młodzi małżonkowie nie powinni mieć z tym żadnych trudności.

John podał dłoń Alys i powiodł ją środkiem kaplicy. Po drodze zatrzymywał się co chwilę, by uścisnąć czyjąś dłoń i podziękować za życzenia wszelkiej pomyślności. Byli już prawie przy drzwiach, gdy serce Johna nagle zabiło żywiej. Wśród gości dojrzał bowiem człowieka, którego wcale nie pragnął dziś widzieć.

Lancaster. A więc ziściło się jego złe przeczucie. Zapewne przyjechał tu z rozkazem. John ma natychmiast przywdziać zbroję i ruszać na pole bitwy.

- Życzę ci wszelkiej pomyślności, John - powiedział diuk.

John skłonił głowę.

- Wasza Wysokość...

Alys ostrożnie wychyliła głowę zza pleców Johna i rzuciwszy na diuka trwożliwie spojrzenie, miała zamiar schować się za mężem. Ale John przytrzymał ją za rękę.

- Moja żona, Alys of Camoy - przedstawił. - Alys, powitaj Jego Wysokość diuka Lancastera.

Alys przykucnęła w głębokim ukłonie, jak nakazywał obyczaj, ale po trwożliwym spojrzeniu nie pozostało ani śladu. Głowa Alys była dumnie uniesiona, wzrok wbity w twarz arystokraty. John, nieco zaniepokojony, chwycił żonę pod ramię i zdecydowanym krokiem wyprowadził z kaplicy. Nie opierała się i nie odezwała ani słowem. Póki nie znaleźli się poza zasięgiem uszu diuka.

- John! On przyjechał tu po ciebie, czy tak?! A ja go wcale nie zapraszałam! To na pewno sprawka Thomasine. Przyjechał przecież też ten Ronci, którego również nie zapraszałam. Podła Thomasine! Każę wtrącić ją do lochu, niech tam zgnije!

- Ronci? Twoja kuzynka wspominała mi o nim. Podobno miał zamiar ubiegać się o twoją rękę, gdybym ja ciebie poniechał..

Alys przystanąła i nie bacząc na kłębiący się wokół nich tłum, wykrzyczała Johnowi prosto w twarz.

- Ona sobie to wszystko wymyśliła! Ja nigdy nawet nie pomyślałam o innym mężczyźnie! A ona jest zwykłą nałożnicą tego Ronciego i umyśliła sobie, że kiedy...

John złapał ją za ramię i ścisnął.

- Alys, proszę, uspokój się. To dzień naszego ślubu, radosny, i takim trzeba zachować go w pamięci. Dziś nawet samego diabła powitałbym z uśmiechem. A Lancaster jest synem króla i jednym z najpotężniejszych ludzi w Anglii.

To uciszyło ją, ale nadal była bardzo wzburzona. John to czuł i wcale się nie dziwił. On sam był pełen najgorszych przeczuć. Przeczuwał, że zamiast zażywać uciech w łóżnicy, będzie musiał ruszyć do walki. Alys zapowiadała co prawda, że będzie wyrozumiałą żoną rycerza, ale te błyski w jej oczach świadczyły, że zapomniała już o swojej deklaracji. A John nie bardzo chciał widzieć, jak jego żona toczy z jego suwerenem potyczkę słowną.

- Alys? Nie zgłodniałaś? Zasiądźmy za stołem. Wiesz przecież, że póki my tego nie uczynimy, nikt nie ma prawa zasiąść, a nasi goście na pewno są już bardzo głodni. I proszę, uśmiechaj się, bo ludzie gotowi są pomyśleć, że nasz pocałunek odebrał ci ochotę na jadło...

Pozwoliła poprowadzić się do zamkowej sali.

Bez oporu, niby już uspokojona i uśmiechnięta, ale John wcale nie był dobrej myśli...

Alys zasiadała do stołu miotana najprzeróżniejszymi uczuciami. Diuk Lancaster wzbudzał w niej lęk. Bała się i jego, i tego, co diuk może zażądać od Johna. Thomasine natomiast wzbudzała w niej gniew i największą pogardę. Do tych uczuć negatywnych dochodziło jedno przychylnie. Ogromna wdzięczność wobec wszystkich ludzi z Hetherston, którzy przybywając tłumnie na zaślubiny, okazali swój szacunek i przychylność nowej lady Greycourt.

Z szacunku do Johna zebrała się w sobie, zmusiła usta do uśmiechu i skinęła ręką, dając znak, żeby rozpocząć ucztę. John, zadowolony, pogłaskał ją po rękawie jasnozielonej sukni, co, niestety, wzburzyło ją dodatkowo. W rezultacie czuła się tak, jakby szła po linie, z trudem utrzymując

równowagę. Pewna, że w końcu spadnie, jak nie na tę, to na tamtą stronę.

Piklowanych jajek przepiórczych nie tknęła, ani świeżo upieczonego białego chleba. Wino reńskie też umknęło jej uwagi, choć tak bardzo chciała je skosztować. Zjadła natomiast kawałek węgorza, do którego czuła obrzydzenie. Zjadła, żeby zająć czymś usta, nie pozwolić, by uleciały z nich gniewne słowa.

Niestety, diuk Lancaster czuł się zobligowany do konwersacji z panią tego zamku.

- Jak to się stało, pani, żeście razem z Johnem na tyle lat odłożyli tę uroczystość? - spytał, uśmiechając się miło.

A dlatego, Wasza Wysokość, żeś ty przez lat dziesięć kazał Johnowi trwać u swego boku i nie zezwalał na wyjazdy do Hetherston! Ty stary, nadęty, samolubny lubieżniku!

Tak. Gotowa była już rzucić mu to w twarz, kiedy poczuła na nodze mocne palce Johna. Tuż nad kolanem. Nie były to żadne karesy, tylko ostrzeżenie. Dlatego zrobiła głęboki wdech i szybko sformułowała inną odpowiedź:

- Sądziliśmy oboje, że należy odczekać... ze względu na... okoliczności.

John, usatysfakcjonowany, w nagrodę pogłaskał ją po udzie. Ciepło jego dłoni przeniknęło przez ciężki jedwab sukni i płótno koszuli. Było to kojące uczucie, ale niestety trwało krótko, bo diuk okazał się bardzo rozmowny.

- Gdyby John wiedział, że czeka nań tak urodziwe dziewczę, jestem pewien, że wybrałby się do Hetherston i bez mojego zezwolenia. I ja bym go za to nie winił...

Czyli ten stary cap usiłuje ją oczarować. Chce uniknąć rozdzierającej sceny, kiedy będzie uwozić stąd jej męża!

Alys wbiła wzrok w stół.

- Takiego człowieka jak John trudno obwiniać o cokolwiek, Wasza Wysokość!

I pospiesznie zaczęła nakładać sobie następną porcję węgorza, jakby bała się, że węgorz ów w każdej chwili może umknąć z półmiska. - Święta racja - przyznał zgodnie diuk. - Przez wszystkie te lata John był rycerzem niezrównanym.

Alys zacisnęła zęby.

- Cieszę się, że tak sądzisz, panie. Przecież to on uratował ci życie, nie dopuszczając, by wzięto cię w niewolę!

- Tak było w istocie. I dlatego, mając na względzie to dzisiejsze radosne wydarzenie, napisałem poemat ku czci Johna, sławiąc jego męstwo. Skomponowałem, naturalnie, też melodię.

Chciał ją złapać na przynętę. A może chciał, żeby ten obrzydliwy węgorz wylądował na jego głowie? Boże, dopomóż, ale gotowa była to uczynić, jeśli ten nadęty głupiec wstanie teraz i zacznie wywodzić swoje trele!

Jej cierpliwość wyczerpała się. Odłożyła nóż i spojrzała diukowi prosto w twarz.

- Przyjechałeś tu, panie, z rozkazem, czyż nie tak? Chcesz zabrać mi męża! W dzień naszego ślubu!

- Przyjechałem tu przede wszystkim po to, lady Greycourt, aby życzyć wam obojgu szczęścia. Chciałem też powiadomić Johna, że przygotowujemy się do nowej kampanii. Wiem, że będzie chciał wziąć w niej udział.

- Nie, Wasza Wysokość!

Szmer rozmów natychmiast ucichł, ucichło pobrzękiwanie noży o talerze. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Słowa Johna, dobitne i wyraźne, docierały do uszu wszystkich.

- Nie takie jest moje życzenie, Wasza Wysokość. Chcę pozostać tu, w Hetherston, razem z moją małżonką. A tobie, panie, dać trzech rycerzy z Hetherston. Są to sir Bran Copely, sir Robin Nithing i sir Royston of Gale. Znasz ich, panie?

Diuk skinął potakująco głową. Nie odzywał się, zapewne wstrząśnięty odmową Johna, natomiast Alys z trudem stłumiła

okrzyk. Och, Boże! Więc to tak? Tajemnica się wyjaśniła! Ci trzech rycerze pół roku temu po raz pierwszy w życiu opuścili Hetherston, kiedy wieźli ze sobą złoto na wykupienie Johna z niewoli. Wtedy to dopiero diuk miał sposobność ich poznać. Rycerzy zatrzymał przy sobie, a złoto zagarnął...

- Wdzięczni jesteśmy, że godzisz się, panie, żeby trzech nasi rycerze służyli ci orężem - odezwała się jasnym, dźwięcznym głosem. - Mamy jednak nadzieję, że złoto, które wieźli ze sobą, powróci do Hetherston!

Diuk skierował ku niej twarz teraz bardzo posępną.

- Złoto?

- Tak. Złoto, Wasza Wysokość, dzięki któremu John miał odzyskać wolność!

Spojrzenie diuka umknęło gdzieś w bok. Chrząknął.

- Ja... ja nie mogłem dopuścić, żeby takie bogactwo wpadło w ręce Trastamary. Było tego trzy razy tyle, niż zwykle płaci się za wykupienie rycerza z niewoli. A on mógł to złoto wykorzystać do nowej napaści na króla Pedro (Piotr I Okrutny, zwany też Sprawiedliwym - król Leonu i Kastylii w latach 1350 - 1369, popierany przez Anglików. W 1366r. podczas bitwy pod Montieul uległ wojskom dowodzonym przez swego przyrodniego brata, hrabiego Trastamarę wspieranego przez Francuzów i Aragonie. W tym samym roku Trastamara zasiadł na tronie hiszpańskim jako Henryk II.)!

Alys wstała. Odsunęła gwałtownie krzesło. Spojrzała na diuka i już w samym spojrzeniu przekazała mu cały swój gniew.

- Mój mąż jest wart tyle, co trzech twoich rycerzy, Wasza Wysokość! A ja nie skąpiłam złota, bo największym moim pragnieniem było, by John powrócił! Ty, panie, udaremniłeś moją uczciwą próbę uwolnienia Johna. I jesteś winien coś za to!

Diuk wstał. Ramiona odrzucone w tył, głowa uniesiona dumnie, spojrzenie gniewne, nakazujące milczenie. Trwało to chwilę, bo nagle diuk spojrział w bok.

- Być może... - powiedział - ale z kobietą paktować nie będę. John, co chciałbyś otrzymać ode mnie?

John dyskretnie pociągnął Alys za suknię. Usiadła. I teraz przemówił John, głosem spokojnym, starannie skrywając swój gniew.

- Chcę, Wasza Wysokość, zwrotu całego złota, które zebrała moja żona na wykupienie mnie z niewoli. To było prawie całe bogactwo Hetherston. Chcę też, aby mój giermek, Simon Ferrell, został pasowany na rycerza. I chcę też, panie, abyś wyjednał u króla pozwolenie na ślub sir Jamesa Ronciego z Thomasine du Aubrey, kuzynką mojej żony.

Diuk uśmiechnął się krzywo.

- To wszystko?

Uśmiech Johna był szczery i radosny.

- Nie. Pragnę jeszcze, abyś dalej darzył mnie swoją przychylnością, Wasza Wysokość.

Diuk opadł na krzesło. Oparł łokieć na stole, pomyślał chwilę i machnął niedbale ręką.

- Co do przychylności, to nic się nie zmieni... Ale pytam, czyś szalony, aby prosić o takiego Ronciego dla kobiety, którą znasz?

- Tak. Proszę - przytaknął John. - A tej kobiecie powinieneś przedtem dać, panie, wiano.

Diuk z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Czyste szaleństwo! Ale dam jej, w końcu to niewielki kłopot. Ferrell dostanie ostrogi. A z tego złota zwrócę wam połowę.

- Trzy czwarte, Wasza Wysokość! - rzuciła gniewnie Alys. - Chyba całego tego złota jeszcze nie wydałeś!

Diuk uderzył dłonią o stół.

- Dwie trzecie! I nie domagaj się ode mnie więcej, pani!
Było oczywiste, że nie ustąpi.

- Przystaję - oświadczyła Alys i dostojnie skinęła głową.

Diuk sapnął gniewnie. Rozparł się wygodniej w krzesło i rzucił półgłosem do Johna.

- Czy ona aby nie jest Szkotką? John wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że rosła pod skrzydłami pewnej Szkotki, Wasza Wysokość.

- Pojmuję... John, a teraz ty mi wyświadczyć przysługę. Idźcie już do łożnicy, bo na mnie czas. Pora ruszać na wojnę.

Tym razem Alys nie zamierzała toczyć z diukiem żadnego sporu. O, nie! Zerwała się na równe nogi, złapała Johna za rękę i zmusiła, żeby wstał. Wychodzili z sali, żegnani śmiechem i rubasznymi uwagami weselnych gości. Wiadomo było, że biesiadnicy będą trwać tu do rana, aby obejrzyć na własne oczy dowód skonsumowania małżeństwa.

Rozpromieniona Thomasine słała za Alys słowa głębokiej wdzięczności. Ronci natomiast siedział nieruchomy, jakby ogłuszony. Ręka z nożem zawisała w powietrzu w połowie drogi do ust.

Nowożeńcy biegiem podążyli do komnaty i wpadli do środka. John szybko zarygłował drzwi i porwał w ramiona zanoszącą się od śmiechu żonę. Śmiała się, kiedy rzucił ją na łóżko, i śmiała się, kiedy opadł na nią. Uciszył ją dopiero gorący pocałunek, po którym John szepnął:

- Jesteś nadzwyczajna!

Alys najpierw obdarzyła go równie gorącym pocałunkiem, po czym też szepnęła:

- Nie sądzę, John. Ja też mam swoje wady, ale wolałabym ich nie wyliczać.

- Na pewno nie masz wad istotnych, najdroższa. Dla mnie jesteś ideałem i kocham cię całym sercem i całą duszą.

- Trochę późno doszedłeś do tego wniosku, ale wybaczam ci!

Nieprzytomna ze szczęścia, wsunęła się głębiej w jego ramiona.

- John, jestem taka szczęśliwa, że nie podążysz za Lancasterem! Powiedz, skąd ta nagła decyzja? Przecież powtarzałeś mi nieraz, że nie chcesz być lordem, że urodziłeś się do walki i niczego innego nie znasz oprócz rycerskiego rzemiosła.

- Och, to głupia myśl, którą wbiłem sobie do głowy jeszcze w dzieciństwie. A teraz pora wreszcie dorosnąć.

Obsypał pocałunkami smukłą szyję żony. W międzyczasie zręczne palce żony rozpięły jego pas.

- Ja też nauczyłam się, że z dziecięcych marzeń trzeba wyrosnąć! Czyli oboje jesteśmy już dojrzały, John, a nasze ciała służą nie tylko do tego, by przyozdabiać je aksamitem i jedwabiem. Pomóż mi, proszę, pozbyć się tego przekłętą przyodziewku!

John zaśmiał się. Ciepły oddech połaskotał ją w szyję. To było takie rozkoszne...

- Jednej jednak twojej wady nie mogę przemilczeć, moja miła. Ta twoja nadgorliwość...

- Straszna wada, prawda? I... zaraźliwa?

- Tak. Gorsza niż morowe powietrze. Och, Alys! Nigdy nie będę miał ciebie dość, nigdy się tobą nie nasycę!

- Przekonajmy się więc... I tak też uczynili.